№ 21 WARSZAWA d. 11 (23) Maja ROKU 1874

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 k. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2. k. 50. Numer pojedynczy k. 15—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—W KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj, lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłatą dla GALICJI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4 W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy: Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia N. 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

Do panów.

Ludwika Niemojowskiego i Jerzego Laskarysa.

Odpowiedź

Na wiersze ich w N-ach 12 i 15 pomieszczone.

Dwaj dzielni rycerze, zbrojni w swe puklerze
Cnót i powagi naddziadów,
Stanęli otwarcie, by walczyć zażarcie,
Z płynącą chmurą owadów.

Gdy Popiela myszy zjadły w nocnej ciszy,
Czemuż by owad zjadliwy;
Za każdym powrotem z żądłem swem zatrutem,
Nie miał być ludziom szkodliwy?

Podeszli więc śmiało, jak mężom przystało,
Do bąków, trutniów i czmieli,
I najpierw im *gratis verba veritatis*,
Jako obrońcy palnęli!

Z uściśnieniem ręki, o dzięki wam, dzięki,
Za prawdy konieczne słowo!
Zmądrzałe szerszenie, proszę uniżenie,
Chcą zdziwić nauką nową!

I oto są myśli, które owad kreśli:
„Pszczółki z ich ulów wyzwolić!"
By bez matki w światy,—leciał rój skrzydlaty,
Powiedźcie,—możnaż pozwolić?

Nie, nadto nie zgoda, bo gromadka młoda,
Ssąca miód z rodzinnych kwiatów,
Utraci swobodę i uczucia młode,
Zwiedziona skiem pryzmatów.

Stójmy w pszczół obronie, na rodziny łonie,
Niech zużytkują swe siły:
Odpędźmy owady z szkodliwemi rady,
Będą się zdrowo roiły.

Ziemisław Szczery.

d. 17 Kwietnia 1874 r.
Lipowa.

W kwestyach ekonomicznych.

Kiedym położył ten tytuł nad mającym się napisać artykułem, znany Wam maruda i tetryk prawdomówny, tylko rzucił spojrzenie na rozłożony arkusz natychmiast wzruszył ramionami.

— A to na co i po co? zapytał zdziwiony. Człowieku co z tobą się dzieje? W piśmie poświęconem wyłącznie kobietom, obrabiać kwestye ekonomiczne to czyste szaleństwo!

— Przecież kobiety nasze są także obywatelkami kraju, szepnąłem zbity z tropu jak młody gimnazista, złapany na tajemniczem kreśleniu początkowej litery imienia swojej ukochanej.

— Nie przeczę temu, odrzekł przeciwnik, ale tylko jako nasze córki, narzeczone, żony i matki naszych dzieci, co ma znaczyć, że dla tych towarzyszek naszego życia, dom i rodzina to świat cały, a to co po za niemi się dzieje, należy do nas wyłącznie i wszelkie wtrącanie się kobiet do tego, jest niewłaściwe jeżeli nie szkodliwe.

— Szkodliwe, co też mówisz?

— Nie zmieniam wyrażenia. Dom i rodzina to tak obszerne pole działalności, że aby mu zadość uczynić, nie można ni czasu ni myśli rozpraszać na uboczne względy. Kto za wiele podejmuje, za mało spełni, kto się za nadto obciąża—upadnie.

— Przecież społeczność to także rodzina, a wreszcie, odrzekłem, i mężczyźni jako mężowie i ojcowie mają także obowiązki względem własnego domu, jeżeli więc po za domowe obowiązki nie przeszkadzają im spełniać rodzinnych, dla czegóżby kobiety z pod tego prawa miały być usunięte?

— Czyżbyś na prawdę nie domyślał się przyczyny, odrzekł przeciwnik z lekkim odcieniem szyderstwa, i obejrzawszy się troskliwie, zapytał: czy tu nie ma blisko kobiety coby nas mogła podsłuchać?

— Jesteśmy sami.

— Więc ci powiem otwarcie, oto jakość umysłowa kobiecej głowy, nie dozwala jej zaprzątać się kwestyami większego znaczenia.......

— Więc dom i rodzina, przerwałem, uważasz za kwestyą mniejszego znaczenia?

— No, naturalnie, przecież przypilnowanie oszczędności w domu, przygotowania posiłku, aby rosół nie wykipiał, pieczeń nie przypaliła się, kurz i brud nie strawił sprzętów, a Mania albo Jasio nie zbiły noska lub sukienki nie splamiły, nie nazwiesz kwestyami większego znaczenia. Trochę dobrej woli, troszkę rozsądku aż nadto tu wystarczą.

— Tak, to prawda, jeżeli w tak ciasnem kółku zamkniesz całą czynność obowiązków kobiety, ale sądzę że są one ważniejsze. Towarzyszka męża która umie tylko oszczędzać i kuchni pilnować, złą będzie towarzyszką: matka pilnująca tylko nosków dzieci i ich sukienek, złą będzie matką. Aby zostały dobremi, muszą koniecznie wznieść się po nad poziom tych choć ważnych ale zwyczajnych niezmiernie obowiązków, czyli żona musi umieć pomówić z mężem, w przedmiotach pracy jego obywatelskiej, a matka czuwać bacznie, aby z dziatek jej wyrośli z czasem ludzie o dzielnej głowie, zacnem sercu i zasadach jak najszlachetniejszych. Przyznasz, że spełnienie należyte tak ważnych obowiązków, oprócz odpowiedniego wykształcenia, wymaga jeszcze ciągłego śledzenia rozwoju społecznego we wszystkich kierunkach jego życia. Aby je rozumieć trzeba znać jego ducha, potrzeby, zabiegi, starania i odpowiednio do tego, własnej czynności nadawać kierunek. Dla kobiety myślą tylko w domu zatopionej, świat stanie się jakąś krainą nieznaną; w rozmowie o nim co chwilę potknie się bez powstania

w wychowaniu dzieci błąd spełniać będzie po błędzie i nie obudzi w nich szacunku dla swego zdania.

Trzeci n. p. most na Wiśle niby kwestya niewłaściwa dla kobiet, a jednak jakże żywotna, jakże złączona z dobrem mieszkańców Warszawy.

Czyż kobiety nie należą do nich? Czyż to nie powinno je obchodzić, czy miasto nasze może poświęcić miliony na połączenie mostem Saskiej Kępy z Warszawą, czy też z wydatkiem tym wstrzymać się aż do wykonania kanalizacyi tak niezbędnej, a od lat tylu nadaremnie oczekiwanej. Most da wygodę, podniesie powiślę i Kępę, ale kanalizacya oczyści Warszawę z nieznośnych wyziewów, które szczególniej w lecie niemało przyczyniają się do chorób grasujących epidemicznie. Gazeta Warszawska twierdzi, że most trzeci jakkolwiek pożyteczny, ale nie naglący, i że Warszawa dostać może go darmo, gdy rozwój kolei zmusi ich właścicieli połączyć dworce na obu brzegach Wisły znajdujące się. Radzi zatem budowy mostu zaniechać, a wytężyć wszelkie usiłowania i fundusze, na urządzenia kanalizacyi, obchodzącej zdrowie i życie mieszkańców Warszawy. Gazeta Polska z Kuryerem Codziennym nie przeczą temu, ale twierdzą równie zasadnie, że czekać, zwlekać na nic się nie zda, że trzeba robić to co możemy nie to co chcemy i pragniemy, bo inaczej nic się nie zrobi a zawsze lepszy, jak powiada Gazeta Polska, kęs w zębie jak dziesięć na dębie.

— Jest w tem wiele prawdy, odrzekł mój przeciwnik, nieszczęśliwe to bardzo położenie, co nie dozwala wyboru w kęsach przypadkiem chwytanych, i każe połykać nawet mogący zadławić. Jakiż jednak pożytek z przedstawienia tej kwestyi odnieść mogą kobiety?

— Bezpośrednio mały, ale pośrednio niezmiernej wagi. Oswoiwszy się z jedną kwestyą po za domową, zachęcą się do śledzenia innych więcej ogólniejszy obudzających interes. Świadomość podobna wpłynie na mężczyzn, oderwie ich od tak bezpożytecznie marnującej czas polityki, a zmusi do rozwagi nad sprawami bliżej z niemi związanemi, które politykę zepchnąwszy na podrzędne stanowisko, przywiążą do siebie i dadzą widzieć to czego dziś w nich nie spostrzegają. Z nałogiem wszelkim nie łatwo się rozstać nawet jednostkom, cóż dopiero zbiorowej massie dojrzałych ludzi. Zajmowanie się zaś tak zawzięte polityką to nałóg powstały z długiego czasu: gdy nie można było patrzeć i radzić koło siebie, chętnie wyciągano oczy i uszy ku stronom, w których dopełniano tego bez żadnej przeszkody. Z nałogu więc patrzymy na Niemcy, Francyę i Anglię i jak pijak od trunku, a palacz od fajki, tak i my od polityki obcej odwyknąć nie możemy.

A co z niej za pożytek? Zaspokojenie ciekawości, zgoda! ale ciekawszy zawsze własny kubrak choć z pilśni utkany, jak sajeta złotem przeszywana na księciu kanclerzu lub ministrze spraw całego świata.

— Dobrze to wszystko, ale czy kobiety potrafią spełnić to zadanie, czy wzniosą się aż do interesowania rzeczami, nie mającemi żadnej styczności z ich zwyczajnem życiem?

— A my, czy już stoimy na odpowiedniem stanowisku? Czego się chwycimy w przemysłowym lub handlowym fachu, nic nam się nie wiedzie. Domy rolników upadły jeden po drugim, upadł Tellus, kulawo rozwija się Merkury, a jedynie tylko dla tego, że nam brak wprawy, doświadczenia i odpowiedniego uzdolnienia. W części samiśmi temu winni, w części okoliczności; w społecznem gospodarstwie nie z własnej winy jesteśmy niedołęgami. Skrępuj rękę na czas długi, a stanie się bezwładną: myślą nie pracuj w pewnym kierunku, a błąkać się będzie jak ślepy bez przewodnika. Niemczeski o którym donosi p. S. Wiśniowski z Ameryki, kiedy był parobkiem w Poznańskiem, z pewnością nie dałby nawet pół feniga na podtrzymanie upadającej gazety; w Chicago jednak zmienił się do niepoznania i choć sam słabo czyta, a żona zupełnie nie umie, jednak głównym stał się opiekunem miejscowej gazety i wspiera ją szczodrze groszem z własnej kieszeni.

Poczucie się samodzielnym, pojęcie że samemu o sobie radzić należy, że oglądanie się na coś i na kogoś nawet okrucha chleba w zysku nie przyniesie, nagle otrzeźwiło go z otrętwiałości i zrobiło rzeczywistym obywatelem. Radźmy o trzecim moście, o kanalizacyi, o braku, o wychowaniu publicznem, a pomału tak się wprawimy, że później nic się nie zrobi bez naszej wiedzy, nie powstaną nawet pomysły, niszczenia ogrodu Saskiego przez letni teatr, a zamknięcia go niemal dla nerwowych przez wybudowanie strzelnicy, wszędzie na uboczach miejskich utrzymywanej.

NOWA HISTORYA

O DZIWO-ŻONIE.

KARTKA Z PAMIĘTNIKA

PRZEPISAŁA

Marya Mirecka.

Wiele jest różnorodnych zdań pomiędzy ludźmi o miłości i kobiecie. Temat to nie wyczerpany, niemal każde pióro go obrabiało, każda głowa musiała poświęcić mu dobrą dziesięcinę myśli swoich, nie wspominając już faktu, że każde serce męzkie, musiało uledz prawu niezmiennemu, i kochać najsilniej, całą potęgą jakiej mu moralny i fizyczny jego ustrój dostarczył. A jednak choć przez tyle wieków miłość była praktykowaną, określenie jej, analiza, pewna forma jakąby można stworzyć na oznaczenie początku objawów i końca jakiej rzeczy, nigdy nie będą stałemi prawidłami przyjętemi przez ogół. Każdy człowiek powie co innego, bo czuje inaczej niż drugi; zdania są sprzeczne, obrazy niewyraźne i ztąd wypływa wniosek, że miłość jak dusza, jak wieczność, i nieskończoność jest i będzie dla nas zagadką, z którą obcujemy zawsze, powtarzamy jej wyrazy—lecz rozwiązać ostatecznie nigdy nie potrafimy!

Co do mnie przynajmniej mam to przekonanie, że można odczytać wszystkie hieroglify, można zbadać tajemnicę milczących sfinxów—bo te zagadki ludzką utworzone były ręką, i ludzką też rzeczą jest je rozwiązać: lecz tajników serca nie zgłębionych przez lat tysiące, nie odkryjemy, nie policzymy i nie podsumujemy jak przepisany na czysto rachunek – choćbyśmy nawet my sami żyli znów lat tysiąc ośmset siedemdziesiąt trzy, i przez ten przeciąg czasu nauczyli się dzielić i obrachowywać wszystkie atomy i monady!

Miłość!.. jak tu opisać—kiedy się ją tylko czuje. Opisz-że naprzykład (proszę mi wybaczyć trywialność porównania!) jak ci smakuje ananas, jeśliś go niedawno jadł, mój przyjacielu!

Miłość, zagadka! tajemnica! Lecz dla męzkiego serca, miłość, to kobieta! A więc kobieta jest zagadką, tajemnicą!...

Tak jest! Znam wielu ludzi: mężczyzni różnili się między sobą nawyknieniami, temperamentem, wychowaniem, ale byli to sobie w gruncie synowie ojca Adama, który z ręki Ewy połknął ogryzek zakazanego owocu, a potem za karę wygnany z raju marzeń, uprawiał ziemię i pracował na chleb w pocie czoła, godząc się mniej więcej ze swoją dolą. Niektórzy stali się podobnymi do Kaina, inni do Abla, zawsze jednak typ pierwotny był widomy i niezatarty.

Kobiety? znałam ich także wiele, co jedna to odmienna! Te istoty zepchnięte na podrzędne stanowisko, przybierały wszystkie postacie, kosztowały każdego jabłka, dokazywały cudów niepojętych dla męzkiej wyobraźni, buntowały się, panowały, reformowały wszystkie przyrodzone i nadane ustawy! Ah! nawet Ewa niepoznałaby swych córek, bo one ani do niej ani do siebie wzajem wcale nie bywają podobne!

Długi czas miałem pojęcie, że i na nie jest broń, równie jak śmierć równająca płcie obie, dotykająca jednakowo mężczyznę i kobietę.

Nie! one i w tem są niezbadane! Straciłem tę zasadę odkąd... w regule ujrzałem wyjątek!

Przed kilkoma laty, wędrując po świecie, zatrzymałem się na dłużej w mieście, którego nazwę zastąpię znakiem X. Było to w jesieni: liczne i ożywione towarzystwo poczynało się bawić, dla skrócenia smutnych dni i wieczorów listopadowych; koncerta, wieczory, amatorskie przedstawienia, jak z rogu obfitości leciały codziennie, lecz ja niezbyt chętnie korzystałem z zaproszeń i o ile mogłem, usuwałem się z pod obowiązków towarzyskich, bo wyznaję, że mię znudziły te stereotypowe zebrania, których program był mi wiadomy z góry, a treść i wrażenie redukowały się w mojem pojęciu do zera.

Życie światowe mię przesyciło, zdawało mi się, że jest ono podobne do wielkiego salonu, w którym gdy się obejrzy ozdoby, sprzęty, osobliwości i ciekawsze przedmioty odrysuje się w albumie potem, nie ma już tam co robić, i milej spocząć w pokoju na ulubionym fotelu.

Rzadko też zdołano mię wyciągnąć z mieszkania, gdzie z książką i fortepianem najmilsze mi schodziły godziny. Tłomaczyłem się, że mi jako czterdziestoletniemu wdowcowi, który nie myśli powtórzyć związków małżeńskich, wolno używać przywileju dziwaków, i robić co mu się podoba. Areopag damski niemile przyjmował te szczere wyznania, a moi znajomi powtarzali:

— Poczekaj! niech tylko ona przyjedzie! Zmienisz ty ten budująco-niemrawy tryb twego wdowieńskiego życia!

Ona? kto?! Zrazu chciano mię drażnić milczeniem, potem dowiedziałem się, że oczekiwaną jest z dalekich górskich okolic młoda panna z matką, jedynaczka, bogata i nadzwyczaj oryginalna. Ma posiadać wszystkie talenta, ma być uczoną jak mędrzec starożytności, dowcipną jak Voltaire, kokietką jak Syrena! Ci co ją znają, nie mogą znaleźć słów na określenie jej charakteru! Jeden z poetów widząc ją w białej sukni z rozpuszczonemi włosami i wieńcem z czerwonych kwiatów na głowie, nazwał ją *Dziwo-żoną*, legiendową postacią tamtych okolic. Podobała jej się ta nazwa, sąsiedzi ją przyswoili, a upodobania przypisywane tym złośliwym duchom, są podobno zupełnie właściwe u pięknej goralki.

Oto co mi opowiedziano — byłem nieco zaciekawiony, lecz gdy mi dodano, że uosobienie dziwo-żony złudziło mnóstwo młodych ludzi, pozawracało jak prawdziwa boginka górska setki głów na wszystkie strony, wszystkich z jednaką traktując płochością — rzekłem z uśmiechem:

— Trafi kiedy kosa na kamień!

Znajomi ponieśli natychmiast moją przepowiednię, a oczekiwania stały się u wielu niecierpliwością!

Nakoniec przyjechała bohaterka codziennych rozmów salonowych.

Tym razem, rzuciłem książkę, i na pierwsze zaproszenie które mię spotkało od kółka gdzie ją spodziewałem się zastać — pośpieszyłem na wieczorek do kuzynów tajemniczej Dziwo-żony.

— Nie boisz się? — spytał mię towarzysz wycieczki.

— Nic a nic! odpowiedziałem szczerze.

Podobno teraz niesłychanie się odmieniła. Już nie jest tak dziką i płochą!—ciągnął nieustraszony opowiadacz, który mię nieco nudził, bo nie lubię czytać recenzyi przed sztuką, i szukać orzekań o osobie wprzód nieznanej. Na szczęście weszliśmy do salonu, rozmowa się urwała.

Widziałem ją!—nie miała ani włosów rozpuszczonych, ani białejsuki enki, z pozoru nie wyglądała wcale na Dziwo-żonę. Była to panna dwudziestoletnia, wysoka, kształtna — ubrana bardzo modnie i przyzwoicie.

Twarz jej była owalna, rysy nieregularne ale dosyć ładne. Czoło wyniosłe, myślące, włosy ciemne, oczy małe, mieniące się jak barwa jaszczurki w promieniach słońca — nos orli, usta jakby rzeźbione z koralu, szyja długa i giętka, ręce piękne i białe—oto rysopis zimny, uważny, jaki zrobiłem po kilku chwilach bystrego wpatrzenia się, niby mający wyrabiać dla niej paszport obojętny urzędnik. Nie jest piękności!—rzekłem sam do siebie, i myśląc o przesadzie ludzkich opowiadań, zbliżyłem się do niej z rodzajem wewnętrznego lekceważenia. Przedstawiono mię—zaczęliśmy rozmowę.

Po godzinie, czułem, że do rysopisu konieczne są dodatki, lecz nie w urzędowej formie, a poprostu dla kogoś, coby chciał mieć o niej choć słabe pojęcie. Na czole jej przeciągały często myśli lub obłoki i chmury po niebios błękicie — oczy były spojrzeniem głębokie jak toń tajemniczego jeziora Switezi,—a usta jak żyję nie widziałem ust takich! Wyraz ich, to cała gama najrozmaitszych uczuć: tony i półtony, rzewne *minor*, i ostre *Dur* mieniały się kolejno w chromatycznym porządku. A co za różnorodność uśmiechu! jak każde słowo podkreślone tych ust ruchem wyrazistym nabierało jakiegoś szczególnego znaczenia! Nie pragnęła być oryginalną, i zachowanie się jej było widocznie aż manierowane na pospolitość, przecież dziwna to była istota! każdy w niej coś niezwykłego odczuć musiał! I dziwne też miała chrzestne imię: Heliodora.

. . . .

W koło niej, gromadził się codziennie tłum, wielbiący ją z jakiemś poddaniem, niby z odurzających wpływów uroku, wynikającem mimowoli. Kobiety nawet, zazwyczaj unikające zbliżenia się do istoty, której przyznano wyższość niewątpliwą, lgnęły do niej. Młode dziewczęta za nią przepadały, miała z nich zawsze otoczenie godne królowej — każda z nich słuchała jej słów z jakiemś upojeniem i chciwością. Kwiat wypadły z jej włosów, rękawiczka z jej ręki były dla nich, na równi z mężkiemi wielbicielami, przedmiotem szacownym i godnym zachowania. Heliodora przyjmowała hołdy tak naturalnie, jak ktoś drugi życzenie dobrego dnia lub nocy. Postępowanie jej miało zawsze pozór zwyczajności, choć bystry dostrzegacz wyśledził nieraz u niej porywy dzikiej fantazyi i kapryśnej samowoli. To wśród zabawy tańczyć przestawała i czarnym otulona szalem, wsunęła się w głąb framugi, zemglonem wejrzeniem powłócząc z roztargnieniem i obojętnością: to znów mimo burzy, na ognistym koniu, nieustraszona jesienną zamiecią i blizką ulewą, pojechała, a raczej popędziła jak strzała za miasto, błąkając się w wąwozach, wjeżdżając na góry w szalony sposób, bez najmniejszej uwagi na dwóch usłużnych kawalerów, następców biednego Sancho-Pancho, który niewinnie cierpiał przykre dolegliwości za wybryki swego pana.

Biedni paniczykowie, okropnym katarem przypłacili swoją galanteryą, a oryginalna amazonka, tegoż dnia wieczór ukazała się w salonie jak zwykle świeża, lekka i dowcipna.

— Gdybym był matką pani, nie pozwoliłbym na ten wybryk!—rzekłem jej śmiało patrząc w oczy.

Uśmiechnęła się łagodnie. – Nie znam innéj woli, nad moją wolę!—wymówiła pieszczotliwym, niby dla umyślnego kontrastu akcentem. Mnie trzeba czasem takich dzikich wrażeń. Jam dziecko gór! Duszno mi w waszych salonach! ślizgam się po tej gładkiej posadzce!

— Dziwo-żona!—szepnąłem ciekawy jakie wywołam uczucie.

— A! zna pan tę nazwę? Lubię ją!.. Ale niedawno słyszałam czy może czytałam—o... zaklętej królewnie to podobniejsze do mnie! Przyjdź pankiedy w szarą godzinę, to panu opowiem.... własną historyą.

— Jestem pani bardzo wdzięcznym za obietnicę pełną zaufania!

— Nie ma za co! Odczuwam ludzi dosyć łatwo, gdy mi się ktoś wyda godniejszym rozmowy, nie odmawiam sobie tej przyjemności! – odparła niedbale. Była dziś nieco dumna i zuchwała – wielbiciele to odpokutowali. Śmiałem się w duszy, patrząc na ich nieszczęśliwe miny, i myślałem sobie, jak to jedna zręczna kobieta umie kilku wcale rozumnych mężczyzn, pozbawić całkiem przytomności. Mój przyjaciel Jerzy, miał dobrze w głowie, a znajdował się jak dzieciak względem karcącej go Heliodory. Pan Anatol słynął ze zręczności i dowcipu—tymczasem okazało się, że często zapomniał w buzi języka—a pan Narcyz, piękny poeta wyglądał tak, jak źle dobrane z sobą końcówki—i ręczę, że zupełnie mu się przekształciło pojęcie o jambach i daktylach, które mieszając niewłaściwie, sprowadzał nagany Heliodory.

Nie trzeba sobie jednak wyobrażać, że czyniła to w sposób przykry—owszem, umiała tak łagodnie, tak sympatycznie każdą rzecz przedstawić, że winowajca czuł wielką cześć dla swego łaskawego sędzi – tylko upokarzając się w własnych oczach, przez nieśmiałość, jeszcze gorsze popełniał niedorzeczności.

— Powiedz mi pani—powiedziałem jej tego dnia—dla czego tyle ofiar potrzeba dla ciągnięcia twego rydwana?

— Co?—odparła—nie słyszałam! Przepraszam pana! Myśl moja bujała tak daleko i wysoko, że głos mię nied oleciał.

— Tem lepiej! – rzekłem nie mając ochoty powtarzać mego frazesu. Uważałem, że Heliodora miała istotnie te dziwne chwile zadumy, wtedy twarz jej bladła, oczy się ćmiły, i zewnętrzne wydarzenia uchodziły jej uwagi. Byłem zadowolony że nie słyszała mego pytania—oskarżałem sam siebie o zuchwałość—bo ściśle biorąc rzeczy, nie starała się przykuć do siebie nikogo – raczej odtrącała natrętów, i nigdy nie dała żadnemu innej oznaki swych względów, nad przyjacielską uprzejmość.

W dalszym ciągu mych spostrzeżeń, posądziłem ją nawet, że albo jest w kim bardzo zakochaną, albo jak lód zimną. Między konkurentami o jej rękę, znajdowali się ludzie zacni, mili, majętni, powabnicna, odrzucała jednak wszystkich, zawsze dziwiąc się ich propozycyi, a chętnie przedłużając z nimi stosunki życzliwości towarzyskiej.

Mówiono że jest kokietką bez serca – nie mogłem tego przyznać, lecz nie twierdziłbym przeciwnie—Czekałem i patrzyłem.

Od dwóch tygodni widziałem w niej zmianę—pobladła, spoważniała, była obojętna i małomówiąca. Pytałem jej o powód—zaprzeczyła zmianie. Matka jej powiedziała mi, że Heliodora czyta zbyt wiele, pisze, myśli—i to jej nadweręża zdrowie.

Zacząłem jej robić wymówki—uśmiechnęła się smutno – i prosiła abym zagrał. Usłuchałem jej—tęsknota i rzewność jej usposobienia były zaraźliwe—odczuwałem jakieś ponure myśli i ciężkie walki —fortepian był tłomaczem i powiernikiem moim.

— Dziękuję! zrozumiałeś mię pan!—Dzisiaj!—dodała z naciskiem.

Miałem chętkę ją podrażnić, bo była śliczną z iskrzącym wzrokiem, i sarkastyczną żywością słów pełnych dowcipu. Uderzyłem w klawisze i nuta skocznego Saltarello, zadźwięczała echem dzikiej wesołości.

Zerwała się, słuchała zdrżącemi ustami, słyszałem jak szepnęła:

— O! teraz jam tu, na ziemi, i niżej jeszcze! W podziemnych pieczarach pląsa mój duch z boginkami... Straszne tańce, szatańskie podrywy i okrzyki! ha!

— Melodya podobna do śpiewu Dziwo-żon?, spytałem nagle.

— Zupełnie!—zawołała z ironicznym uśmiechem.

— Czy powiesz mi pani historyą swoją i królewny?

— Nie dziś! odrzekła, nie mogę dziś mówić! Saltarello przywołało mego ducha w zapomniane koło, gdzie szaleją upojone słodyczą Dziwo-żony!

. . . .

Heliodora była duszą zebrań, lecz działo się to zwykle w ten sposób, że dała pomysł zabawie, wynalazła genialny sposob poruszenia ogólnej wesołości, a sama jakby połowicznie tylko brała w niej udział. Obecność jej, była nieraz wystarczającą dla ożywienia całego towarzystwa. Wszystkich oczy zwracały się ku niej, najleniwsze wyobraźnie były rozkołysane. Niepodobnaby ją było nazwać aniołem pokoju, raczej promieniem budzącym ruch i życie w każdej istocie. Miała w swej osobie coś słonecznego, blaski i grę światła, lecz widziało się to dopiero w rezultatach, we wrażeniu jakie czyniła na drugich, niby w odbiciu jakie na ziemi światło sprawuje. Jej naturę, równie było niepodobieństwem dokładnie oznaczyć, jak składowych materyi słońca. Ona była widoczną, lecz dziwnie niedotykalną dla ludzkiego pojęcia.

Raz przyszedłem do niej, gdy mrok zapadał, chciałem się upomnieć o szarą godzinę tak ciekawą dla mnie! Zastałem Heliodorę siedzącą na oknie, nóżki wsparła o poręcz kanapy, ręce opuściła na kolana. Jasna, fałdzista suknia, spływała aż do posadzki. Powitałem ją, skłoniła głową w milczeniu.

— Czy powiesz mi pani? nalegałem prosząco.

— Czy koniecznie? pytała powoli.

Prosiłem gorąco. Dobrze! powiedziała. Opowiem panu: smutna to bajka i nie bajka może! dodała ciszej.

— Posłuchaj pan: zaczęła. Zaklęta królewna długie, samotne dnie pędzi w gmachu zaczarowanym na lodowej górze. Zaklęta na samotność, żyje na wyżynach śnieżystych i kryształnych, nie ma przystępu ni drogi do jej pałacu, a najśmielsi rycerze ześlizgują się z lodowej opoki. Nigdy żaden, nie dosięgnął w głąb zamku zaczarowanej królewny!

Ona tęsknemi oczyma pogląda na piękne, żywe obrazy sielanki i szczęścia, które u stóp lodowej wyżyny, w dolinie zielonej, różowem ubarwionej kwieciem, przesuwają się w scenach rozkoszy i miłości!...

Odgłosy śmiechu, śpiewu, pocałunków, dochodzą aż do samotnej, i miłe te dźwięki, odbijają się tylko echem po pustych błyszczących, zimnym blaskiem lodu, komnatach królewny.

Ku niej ślą także wejrzenia pragnień i tęsknoty, wielu chce gwałtem wskoczyć na lodowy szczyt góry, inni rzucają wstążki złote, różowe, inni tęczę i promienie wysnute z swej duszy i serca, aby królewna po wstążce, tęczy, lub promyku, dostała się z lodowej góry na rozkoszną szczęścia dolinę!

A ona smutnie wstrząsa głową, bo wie, iż aby ją uwolnić z otoczenia lodu, trzeba znać słowo zaklęcia, trzeba przybyć tu do niej, i wymówić je! Gmach i góra z lodu, zmienią się w raj szczęścia i roskoszy, w Eden piękna, w niebo zachwytu!

Ale słowo zaklęcia, znane przez wielu, proste słowo: *miłość!* nie w każdych ustach ma moc zniszczenia złego uroku!...

Wymawiają je ciągle, a lód nie niknie!... Królewna tęskni samotna i zasmucona!...

Heliodora przestała mówić, melodyjny jej głos zrazu cichy, potem pełny i dźwięczny w ostatnich wyrazach był smętnym szeptem.

Pochyliłem się ku niej, w jej oczach lśniły czyste łzy...

— Heliodoro! mówiłem w zapomnieniu biorąc jej ręce, nie kochałaś więc, nigdy nikogo?...

— Nigdy!... nikogo! powtórzyła jak echo.

— Szkoda! Mogę to twierdzić z doświadczenia! Gdy młodość przeminie i nic nie zostawi prócz ulotnych wspomnień tryumfu nad hołdownikami, będzie ci smutno... straszną w sercu uczujesz próżnię!... Lepiej jest zawieść się, lecz czuć wpierw rozkosz szczęścia... Powinnaś kochać Heliodoro!

— Nie mogę! szepnęła z westchnieniem.

— Szkoda! zacząłem znowu—szkoda... że i ja nie mogę wdzierać się z drugiemi w zawody na te wyżyny lodowe...

— Sprobój zaszemrała, odpowiedź.

W tej chwili stało się ze mną coś dziwnego! Zdawało mi się, że ziemia usunęła się z pod stóp moich, zaszumiało mi w głowie i fala krwi gorącej uderzyła do mej twarzy!.. Gdyby mi kto był powiedział to owego dnia rano, byłbym mu się roześmiał spokojnie w oczy, a jednak tak się stało:. kochałem ją! Poczułem to w tej minucie która mi się wydała wiekiem. Czułem jeszcze, że byłbym gotów lecieć w przepaście lub dążyć na szczyty skał, dla zbliżenia się do Heliodory.

Ta niepojęta istota miała mię już w swej mocy. Mnie, com się drugim dziwił, i studyował ją tylko jako ciekawy egzemplarz moralny!..

Drżałem jak listek, tymczasem Heliodora zeszła z okna, przesunęła się cicho około mnie, i zapaliła najspokojniej światło w salonie.

Widziałem że ją to słowo nic nie kosztowało, choć mi niem zburzyła cały gmach pracowitej budowy stateczności i uspokojenia, które uważałem za niezachwiane do końca życia mego!

Myśli te kłębiły się w mej piersi, jak rozbudzone węże, a ona stała w głębi pokoju nucąc z cicha.

— Ha! Dziwo-żona! syknąłem sam do siebie. Jakże chciałem ją nienawidzieć! Daremnie! kochałem ją!

. . . .

Harpija zazdrości przyczepiła się do mego serca! Heliodora widocznie zajęta Narcyzem. On jest młody, piękny, coraz śmielej przemawia do niej swemi poetycznemi zwroty! O! jakże go niecierpię!.. Te uczucia zniżały mię we własnem mojem pojęciu o swej godności, a jednak nie było w mej mocy stłumić wściekłość, jaka sam nie wiem zkąd, wezbrała w mej duszy.

Narcyz długie godziny przebywał u niej, znana mi niedbałość i lekceważenie form ze strony Heliodory, dawały mej zazdrości niewyczerpany szereg utrapień. On z nią grał, śpiewał, marzył, widziałem jej twarz rozjaśnioną, i słyszałem głos tak miękki, a usta co nim władały tyle miały wdzięku... Szalałem lecz tłumiąc ból w głębi, tylko spojrzeniem mogłem się zdradzić mimowoli, nie wybuchnąłem ni razu! Nie zdusiłem pani Kazimierzowej, gdy mi powiedziała z minką znaczącą, że Dziwo-żona, kto wie czy nie pozbędzie się pierwszej połowy swej nazwy, przybrawszy drugą połowę w istotnem tego słowa znaczeniu!...

Nie zdusiłem jej, i poczytuję to sobie za zasługę, bom miał do tego chęć bardzo usilną!..

Wkrótce wszyscy mówili, że Heliodora zaręczona z Narcyzem. Ja sam widziałem u niego plecionkę z jej włosów i mały pierścionek, który nosił na palcu od dwóch dni dopiero, Uważałem jej ręce, lecz nie miała żadnego dowodu fatalnej dla mnie nowiny. Pokilkakroć zapędzałem się aby jej wyznać moje uczucie, lecz jakież miałem prawo krępować jej wolę? Czyż ona nie wiedziała że ją kilkunastu kocha, i czyż nie miała mocy wybrać z nich jednego?

Przywoływałem w pomoc rozum, milczałem, lecz się męczyłem straszliwie!..

. . . .

— Chodź pan! rzekła do mnie w kilka tygodni później, Heliodora, opowiem panu dalszy ciąg bajki o królewnie!

Szedłem jak na ścięcie! Byłem pewny że mi oznajmi swoje zaręczyny z Narcyzem.

— Pamiętasz ostatnie słowa historyi? zagadnęła.

Powtórzyłem jej cały epizod z pamięci: wymawiają miłość ciągle, a lód nie niknie! Królewna tęskna samotna i zasmucona!

— Niedawno, ozwała się ze smętnym uśmiechem, młody trubadur, pieśni kochanek, wyrzekł to słowo najtkliwszym głosem... Zadrżała samotnica, różowy odblask zajaśniał na kryształowych ścianach, może to szczęsny dzień wyzwolenia?.. I widząc go sięgającego z uczuciem ku niej nieśmiałego, a cierpiącego podobnie jak ona, wyciągnęła doń rękę, rzuciła mu chusteczkę skropioną łzami sierocej tęsknoty... plecionkę swych włosów, pierścionek z palca zimnej, zlodowaciałej ręki... On chwytał te skarby, i piął się coraz wyżej, doszedł do drzwi komnaty samotnicy. Przyjęła go radośnie myśląc, a może to on, mający moc zaklęcia?..

Śpiewali razem miłosne pieśni, królewna przymykała powieki, sądząc że gdy je znów otworzy, w około siebie ujrzy w raj zamienioną lodową wyżynę!..

O! nie! nie! nie on! Nie zwalczył uroku, i zsunął się po zdradnej lodu powłoce! To tylko trubadur, natchnione dziecię piękna!...

Królewna została samą: stoi na wieży i patrzy w niebo i pogląda na kwiecistą dolinę.. Tam, w górze zgasła jedna gwiazda nadziei! na dole zwiądł biały kwiat Narcyza... Królewna tęskni.... i płacze!..

— O nie płacz! zawołałem z namiętną radością, królewno! nie trabadur cię wybawi z zaczarowania! Jam odeń silniejszy, gorętszy ogień mego uczucia stopi lody! Porwę ciebie, uniosę! o Heliodoro nie odtrącaj mię takiem wejrzeniem!. Pozwól kochać się!..

— Żal mi pana; odparła, na co ci było poznawać mię i kochać istotę tak dziwną... Zwróć się lepiej do orszaku tych młodych dziewcząt, one ci dadzą szczęście ciche... a ja!.. Oh! zawołała nagle z gwałtownem uniesieniem, dałabym niepojęty ogrom miłości i rozkoszy, ale kto zdoła mię uwolnić z zaklętej wieży śnieżystej?

— Ja! rzekłem chwytając jej dłonie, zimne i miękkie jak płatki śniegu.

Zdawało mi się, że olbrzymia moc wstąpiła we mnie, zapomniałem o wszystkiem co mię otacza, o przeszłości, teoryach moich! Wpiłem w jej oczy mieniące źrenice swe, które mię piekły jak pochodnie w orbitach, i w rozpalonych rękach ściskałem jej ręce szepcząc: Ja!..

— Zrób to... abym cię kochać mogła, a będę twoją! mówiła stłumionym głosem. Usta jej drżały...

— Moją! wybuchnąłem w upojeniu, byliśmy prawie sami w salonie; pochyliłem się ku niej, objąłem jej kibić smukłą—chciałem pocałunkiem przelać w jej usta część ognia uczuć moich. Uchyliła głowę i spojrzała z dumą obrażonej godności.

— Nie kocham cię jeszcze, powiedziała cicho, i wysunęła się powoli z pokoju - mnie ręce opadły, i splotły się w rozpaczny węzeł nagłym bólem skurczone. Powiodłem za nią oczyma — a jam czuł, że wpadam w chaos, bezdnie i ciemności — sam!

. . . .

Zima była piękna, pogodna i mroźna. Po świętach karnawał ledwo rozpoczęty, gdyby jednak liczył chwile swego istnienia, liczbą zabaw na cześć jego wyprawionych w naszem mieście, byłby miał okres życia dość długi. Na wszystkich balach, zebraniach, wizytach, bywała zawsze Heliodora, wesoła, strojna, zalotna a tak czarująca, że ile kwiatów więdło w jej bukiecie, tyle serc każdego dnia rzucano jej pod drobne stopki, istne nóżki królewny. Nigdy jej nie widziano tak powabną: znikł ostry dowcip, była słodką, miłą, a tak wesołą, że gracya Eufrozyna mogłaby jej zazdrościć srebrnego śmiechu i ożywionego spojrzenia.

Jam już nie zazdrościł! Byłem szszęśliwy jak nigdy w życiu. Heliodora ze mną najwięcej rozmawiała, tańczyła ze mną chętnie, i darzyła niejednym wyłącznie dla mnie wynalezionym uśmiechem.

Wszyscy mi winszowali a mnie się zdawało, że druga wiosna zaświtała w mem życiu, żem młody, szczęsny i zakochany do szaleństwa.

Nie wierzyłem już w jej podobieństwo do Dziwożon i królewny! Raz nawet śmiałem jej to powiedzieć i dawne postępowanie nazwać egzaltacyą młodej marzycielki.

— Nie budź złego! niech śpi! — szepnęła poważnie.

— Uśpijmy go na wieki! — odparłem całując jej ręce z uśmiechem szczęścia, teraz czuję, jak głupowatem musiało jej się wydać moje zadowolenie i pewność siebie.

Nie miałem od niej żadnego słowa, lecz tysiące drobnych dowodów, dawały mi nadzieję wzajemności. Przede mną mówiła często o wszystkich wielbicielach swoich, z sarkazmem i cudownemi kaprysikami. Przyjmowała mię u siebie codziennie, a jej matka, witała mię z serdecznością, jakby z podzięką za szczęśliwą zmianę w obejściu Heliodory.

Raz—poprosiłem ją także o plecionkę z włosów. Nie! — rzekła śmiejąc się — to za nadto romantyczne. Tyś nie trubadur! Dam ci lepiej swoją fotografiję!

Wolałem ten dar! Ucieszyła mię różnica jaką zrobiła między mną i wzgardzonym Narcyzem. Byłem pewny już szczęścia swego. Tak minęło trzy miesiące: wiosna się zbliżyła, dziwnie wczesna i piękna. Długie godziny chodziliśmy po ogrodzie i za miasto z Heliodorą. - Opierała się na mojem ramieniu, i swobodnie rozmawiała o różnych przedmiotach. Sąd jej był trafny, nauka głęboka, znajomość świata zadziwiająca. Powiedziałem jej raz, że ma wielkie przymioty umysłu i prawidłowo ludzkie, tylko...

— Tylko serce wadliwe! — dokończyła z uśmiechem.

— Nie! nie to chciałem wyrzec. Dziwię się tylko tak wczesnej dojrzałości ducha pani! Zkąd tyle wiedzy i znajomości ludzi?

— Przez intuicyę! Właśnie przez to serce!

— To serce nie ma wad żadnych! — przerwałem. Nie! to źródło dobra, szczęścia, miłości... to skarb.. mój!

— Twój! — powtórzyła patrząc mi w oczy.

— Heliodoro! ty mię kochasz! — zawołałem odurzony dźwiękiem tych wyrazów.

— Może i kocham!

Słów mi zabrakło — rzuciłem się przed nią na kolana, całowałem kraj jej szaty. Stała uśmiechnięta, różowa ze wzruszenia, a może od blasków zachodzącego słońca wiosennego?...

— O królewno moja! — szeptałem uniesiony.

— Cicho! — odparła kładąc mi dłoń na ustach. — Nie budź złego!..

(d. c. n.)

O POSTĘPIE

PRZEZ

Elizę Orzeszkową

(Dalszy ciąg.)

„I oto w jaki sposób, powoli i stopniowo zmieniają się losy ludzkości. Wzrostowi wszelkiej siły odpowiada wzrost dobrobytu; siły zdobyte, zgromadzone, upożytecznione stwarzają i rozprzestrzeniają bogactwo, lepszy podział bogactwa ułatwia i polepsza warunki ludzkiego życia.

Porównajmy byt pracowitego i oszczędnego wyrobnika naszych czasów z bytem podobnego mu człowieka w wiekach XII i XIII, o ileż lepszem jest pożywienie jego, cieplejszą odzież, wygodniejszem mieszkanie! Różni współdziałacze spełniają w zastępstwie jego najgrubszą robotę; powstanie maszyn to pierwszy krok ku wyzwoleniu człowieka z pod konieczności mechanicznego pracowania a więc przemieniania się niejako w maszynę. Wyzwolenie to obdarza człowieka znakomitą summą czasu, w którym kształcić on może umysł swój, przez co znowu potęgując siły swego rozumu, zdobywa środki do wzmacniania przewagi swej nad fizycznym światem. Wszelka zdolność wyrabiająca się w jednostce ludzkiej udziela jej jednego więcej oręża w walce życiowej. Wszelka zdolność, która rozwija się w narodzie, dodaje do wszystkich innych jeden więcej czynnik powszechnego postępu."(1)

„Jednym z faktów wytworzonych przez postęp naukowy i ekonomiczny, a najbardziej uwagi i podziwu godnych, jest równoległe wzrastanie dwóch zjawisk: liczebnego pomnażania się ludności i zwiększania się środków do życia. Zjawiska te które na pozór wykluczać się wzajem winny, niespodziewaną, nieprawdopodobną zda się zgodnością swą, najwyższe przedstawiają świadectwo zwycięzkiej potęgi rozumu ludzkiego. W czasie gdy strony zamieszkiwane przez plemiona dzikie wyludniają się w sposób przerażający, wszędzie indziej ludność wzrasta w stosunku do wzrostu cywilizacyi. Dowiedzionem jest, że wśród ludów żyjących z myślistwa, każdy pojedynczy człowiek aby módz wyżyć, potrzebuje przeciętnie 50000 morgów czyli 78 mil kwadratowych (francuzkich) przestrzeni. Paragwaj posiada 100,000 mil kwadratowych przestrzeni a 500,000 mieszkańców, czyli po pięciu mieszkańców na jedną milę.

Anglija na takiejże kwadratowej mili mieści 280 mieszkańców a Belgija 320. I w tych to właśnie ostatnich krajach, najgęściej zaludnionych, żywność jest najobfitszą, a obfitość ta wzrasta wciąż aż do pewnej przynajmniej miary przyrastania ludności. Dla tego to zapewne powiedziano, że dobroczyńcą ludzkości jest każdy ktokolwiek sprawił, że dwa kłosy zbożowe wyrosły tam, kędy wprzódy wyrastać mógł tylko kłos jeden. Cóż więc mniemać winniśmy o usiłowaniach takich, które na przestrzeni mogącej w sposób nędzny i niepewny, wyżywić zaledwie jednego dzikiego człowieka, zapewniają dostatnie bytowanie tysiącom ludzi?

Nietylko jednak co do ilości pomnożyły się, w skutek naukowego i ekonomicznego postępu istnienia ludzkie; zyskały one jeszcze na długości i pełni. Rozwijające się i życie codzienne przenikające prawidła hygieny, coraz nowemi odkryciami i wiadomościami wzbogacana nauka medycyny, częściowe wyzwolenie się człowieka z pod prac mechanicznych przez zastępstwo machin, mniejszy wydatek sił i obfitsze, umiejętniejsze odżywianie, przedłużyły w krajach mniej więcej ucywilizowanych, i w przeciągu stu lat niespełna przeciętne trwanie życia człowieka o lat 11-ście. Zarazem, życie to będąc dłuższem, dzięki rozwijaniu się swobód politycznych, nauk, sztuk, bogactwa i sprowadzonym przez nie interesom, wysileniom, myślom i uczuciom, stało się pełniejszem, więcej zajmującem i wytężonem. Dwa te wielkie zwycięztwa odniesiono z jednej strony nad chorobą i śmiercią fizyczną, z drugiej nad odrętwieniem i gnuśnem gniciem moralnem.

A przecież są to tylko najwydatniejsze punkta niezmierzonych widnokręgów, które przedstawiają nam skutki i dzieła rozumowego postępu.

II.

Tak więc w skutek postępów dokonanych przez rozum, człowiek stał się oświeceńszym, swobodniejszym, bogatszym niż był dawniej, żyje dłużej, silniej odczuwa życie, władze jego pomocą których może zdobywać i używać, liczniejsze są, co więcej doskonalsze, bardziej zaostrzone i spotęgowane. A jednak natura człowieka tak jest różnorodną w swych szczegółach, położenie jego wśród świata tak złożonem i wszelakiemi trudnościami najeżonem, że wszystkie te zdobycze i ulepszenia, nie wypełniają same przez się miary potrzeb jego, nie zabezpieczają mu dostatecznie ani prawidłowego udoskonalenia się, ani trwałego szczęścia. Aby człowiek mógł udoskonalać się prawidłowo i wszechstronnie, nie wystarcza mu być coraz oświeceńszym, swobodniejszym, bogatszym, lecz powinien jeszcze stawać się coraz lepszym. Powinien stawać się lepszym dla tego także, aby być szczęśliwym. Władze uczucia i woli pogrążone w zastoju, tworzą na każdym kroku wszelkim ulepszeniom i udoskonaleniom rozumowym tamy i przeszkody; rozbujałe i niesfornemi namiętnościami wybuchające, obalą w jednej chwili to, co postęp rozumowy budował przez wieki: mącą spokój i niszczą w zarodzie samym szczęście człowieka i społeczeństw.

Harmonija, zgodność, równoległy rozwój składowych części, oto konieczne, najwyższe, nieuniknione prawo, rządzące wszelkiem zjawiskiem, jeśli ma być ono trwałem, pożytecznem, doskonaleniu podatnem. Wszędzie gdzie istnieje spór i wzajemne odpychanie się, gdzie sprzeczne ze sobą, w innym kierunku lub zbyt nie równym krokiem postępujące żywioły, ścierają się nieprzyjaźnie, szkodzą sobie, przeszkadzają, powstrzymują się i pochłaniają wzajemnie; tam rozwój całości powolnym tylko być może, musi być krzywym, z wielu stron kalekim, słabym, kruchym, częściej zatrzymującym się lub cofającym, niż ku udoskonaleniu się i spotęgowaniu, postępującym. Widzieliśmy już, że rozmaite gałęzie postępu rozumowego sprowadzają w zupełności to konieczne i nieodbite prawo harmonji i zgodnego współdziałania, że rozwój nauk sprowadza i wspomaga ulepszania się społecznego gospodarstwa, i że wynik ulepszania się tego, wytężenie pracy, wzrost i coraz lepszy podział bogactwa znakomicie ułatwia, ukonieczna nawet niejako zgodne ze słusznemi potrzebami ludzi, kształtowanie się państw i prawodawstw. Harmonija tu widoczną jest i dowiedzioną, odosobiona jednak nie przedstawia jeszcze zgodności wszystkich żywiołów, które składać się powinny na postęp powszechny. Pozostaje do rozważenia wzgląd niezmiernej wagi: czy objaw uczuć ludzkich: moralność, zdolnym jest tak jak objaw rozumu: wiedza, do ulepszania się, rozszerzania i spotęgowania? Czy i o ile moralność równolegle rozwija się z wiedzą, wspomaga ją i jest przez nią wspomaganą?

Roztrzygnięcie pierwszego pytania przedstawia niezmierne trudności. Nie idzie tu już o zwyciężanie sił przyrodzonych, których postęp zważyć, wymierzyć, i obliczyć można, ani nawet o kierowanie subtelniejszemi już i bardziej oderwanemi, zawsze jednak ściśle mu rozumowaniu podległemi siłami społecznemi. W kwestyi moralności a więc cnoty, wszystko zamyka się w jednostkowem sumieniu, w osobistej całkiem woli, w prywatnym czynie i istnieniu. Cnota ludzka nie spada z człowieka na człowieka, z pokolenia na pokolenie tak jak odkrycie naukowe, ulepszenie gospodarskie lub rozumniejsza w osnowie swej prawodawcza ustawa. Moralne uczucia i postępki ludzi idą z niemi do grobu. Zgromadzić je do jednego miejsca, przeliczyć, przechować dla czasów następnych, ulepszać przez nie gatunek i zwiększać ilość cnót przyszłych materyalnie niepodobna. Ztąd nieujętość, nieokreśloność, tajemniczość zagadnienia; ztąd wielka różnica zdań sądzonych o istnieniu lub nieistnieniu postępu w moralności, różnica która oddawna przestała istnieć względem postępu wiedzy.

Wielu nowożytnych myślicieli, między którymi znakomity angielski historyk Bukle, zaprzeczają stanowczo żywiołowi moralnemu zdolności postępowania, utrzymują: że summa zła i dobra zawsze jest w świecie jednostajną. Inni przerzucając się w przeciwną ostateczność dowodzić usiłują, że moralność jest jedynym w naturze ludzkiej żywiołem zdolnym do udoskonalenia się i udoskonalenia nie potrzebującego bynajmniej pomocy wiedzy, aby módz postępować.

Inni nakoniec, najbardziej już krańcowi, znajdują że moralność rozszerzać się już tylko w świecie powinna, postępować zaś już niepotrzebuje, bo taką jaką ukazuje się w postaci pewnej ustanowionej doktryny, pewnych przez część ludzkości za obowiązujące uznanych przepisów, jest już doskonałą, skończoną, zawierającą w sobie pierwszą i ostatnią zgłoskę moralnego sumienia, moralnych powinności, cnót i przeznaczeń człowieka.

Które z twierdzeń tych, tak sprzecznych ze sobą, uznać mamy za prawdziwe? Czy też nie przyjmując dosłownie żadnego z nich, wynajdziemy prawdę pomiędzy nieprzyjacielskiemi obozami, jak najczęściej bywa wtedy, gdy ludzie duchem stronności lub szczerem lecz w błąd wiodącem uniesieniem powodowani, kopią przepaść różnic i rozdziałów pomiędzy zjawiskami, które w połączeniu tylko i zgodzie dobrze pojętemi i zużytkowanemi być mogą. Zbadanie zaś zagadnienia postępu moralności i znaczenia jego w powszechnym postępie dla wszelkiego dobra i szczęścia ludzkiego, niezmierną posiada wagę, a dokonane, o ile starczą na to siły rozumu naszego, sumiennie i gruntownie, stanowi nieodzowna potrzeba i niejako obowiązek każdego myśleć umiejącego człowieka.

Przedewszystkiem, dla jasnego ustanowienia zadania, odróżnić wypada w moralności dwa jej wielkie działy: cnotę i doktrynę.

Rozważając naprzód naturę właściwości i zdolność do postępu pierwszej, porozumiejmy się co do znaczenia wyrazu: cnota. Jest to wyraz zbiorowy, zamykający w sobie pojęcia wszystkich dobrych uczuć, szlachetnych popędów, wzniosłych zalet, które stanowić mogą moralne sumienie człowieka; a więc: dobroci, prawości, czystości obyczajów, miłosierdzia, przebaczenia, wspaniałości i t. d.

Pierwszą zasadą, którą ustanowić należy przy zabieraniu się do oceniania cnoty osobistej, w jednostkowem sumieniu źródło i siedlisko swe mającej, jest ta, że jedyna miara stanowiąca z punktu absolutnie moralnego o cnocie człowieka, spoczywa w mniejszej lub większej czystości intencyi, i w mniejszym lub większym stopniu wysilenia dokonanego i pokonanej trudności.

Zasada ta udziela nam pewnego probierza, wedle którego sądzić możemy o możebności lub niemożebności postępu cnoty, a jest nim: stopień natężenia i kierunek woli ludzkiej.

Ze wspomnieniem o woli loika myślenia wiąże z konieczności myśl o zagadnieniu niezmiernie waż-

(1) E. Caro.

nem, a przez uczonych i filozofów pomimo olbrzymich prac i namiętnych sporów, stanowczo jeszcze nie rozstrzygnionem, o zagadnieniu istnienia i miary wolności woli człowieka.

Jest to jedno z najciekawszych, najważniejszych i najtrudniejszych pytań stawionych człowiekowi przez naturę ludzkości, dzieje jej i przeznaczenia. Jedni uznają człowieka absolutnym panem woli swej, mocnym zawsze i wszędzie z zupełną swobodą dokonywać wyboru i postanowienia; inni twierdzą, że wola człowieka jest bezwarunkowo poddaną wpływom miejsca, czasu, organizmu, okoliczności życiowych. Nie poważamy się bynajmniej wynajdywać tu słowa sfinksowej zagadki, które, jeśli kiedykolwiek stanowczo wynalezionemi zostaną, odkryją może przed ludzkością prawdziwą miarę możności jej, wskażą przeważną część jej przeznaczeń. Jeżeli wszakże nie przyjmując za pewnik żadnego z krańcowych wyroków o wolnościwoli, przechylimy się, na stronę tych którzy twierdzą, że wolność ta nie jest wcale bezwarunkową, i że istnieje mnóstwo wpływów fizycznych, moralnych, dziejowych, okolicznościowych, które kreślą dla niej niepodobne do przełamania granice, to jednak pozostaniemy w zgodzie z faktami spostrzeżonemi, dowiedzionemi, przez prawodawstwa same uwzględnionemi mniemając, że wola ludzka jakkolwiek nie absolutnie wolna, przy pewnych danych uswobodniać się do pewnego stopnia, usamowiedniać się i spotęgowywać może. Skoro zaś tylko wola ludzka postępuje w stopniu natężenia. w samowiedzy i dobroci kierunku, wraz z nią w sile i szczerości postępuje cnota. Ztąd wynika: że przypuszczając nawet, iż ilość cnoty pozostaje we wszystkich epokach ludzkości zawsze jednostajną (co przecież niepodobnem jest do stwierdzenia) jakość jej ulepsza się w danych razach, a przez to zachodzi postęp konieczny w doskonaleniu się ludzkiego sumienia, więc w doskonaleniu się moralności.

Jako przykład dla uwyraźnienia powyższych twierdzeń, weźmy jeden z faktów stanowiących epokę w dziejach ludzkości. (d. c. n.)

SZKIC
LITERATURY ROSSYJSKIEJ
Z OSTATNICH LAT DWUDZIESTU.

(Ustęp z dzieła Konstantego Petrow p. t. Obraz literatury rossyjskiej.)

(Dalszy ciąg.)

VI.

DZIENNIKI I PRZEGLĄDY.

Od czasu rozszerzania atrybucyj przysługujących ministerstwom a tem samem zwiększenia pola ich działalności, zaczęły one wydawać publikacye periodyczne, ważne z wielu względów, jak między innemi jako zajmujący przyczynek do dziejów piśmiennictwa *Dziennik Ministerstwa wychowania publicznego*, którego początek sięga roku 1834. W dzienniku tym zamieszczano artykuły z różnych gałęzi nauk, a szczególniéj z dziedziny filologji: unikał wszelkich polemik i odznaczał się poważnym stylem i trafnością sądu. Jeden dział tego dziennika, z nadpisem *Przegląd gazet i wydawnictw* wyliczał wszystkie książki wychodzące z druku i artykuły zamieszczone we wszystkich gazetach.

W r. 1848 zaczął wychodzić *Zbiór morski* w którym ukazały się zajmujące opisy podróży, odznaczające się nawet pod względem literackim, jak n. p. podróże Gonczarowa i Milukowa, jako też artykuły nie mające bezpośredniego związku z tytułem dziennika, do jakich zaliczamy *Kwestje życia* Pirogow'a, traktujące w ogóle przedmioty odnoszące się do pedagogiki.

Dzienniki literackie zaczęły także bardzo rozszerzać pole swéj działalności, w ich szpaltach zaczęły się pojawiać prace wielkich rozmiarów, które zamieszczone najpierw częściami w kolumnach pism peryodycznych, wychodziły następnie w oddzielnych, często bardzo obszernych tomach. Jedne z tych dzienników utrzymały się w tonie poważnym, inne zmieniły front stosując się do gustu publiczności.

Najsłynniejszym z ówczesnych przeglądów były *Roczniki ojczyzny*, zamieszczały dobre bardzo artykuły treści literackiéj, krytycznéj i naukowéj, oraz przekłady romansów Sand'a, Eugeniusza Sue, Dumas'a, Dickens'a, Tackeray'a, Cooper'a, oraz oryginalne powieści i romanse jak n. p. *Soziusz* Dostojewskiego, szkice historyczne, naukowe, artykuły krytyczne Bielińskiego, który jednak podawał je bez podpisu, itd. itd.

Z innych przeglądów zasługują na przytoczenie *Kuryer finlandzki* oraz *Współczesny Puszkina*, które wzięły sobie za zadanie obznajmiać publiczność z najlepszemi utworami literatury skandynawskiéj i niemieckiéj. *Kurjer findlandzki* ogłosił przekład duńskiego romansu p. n. *Struensée* i ze szwedzkiego powieść Fryderyki Bremer, p. t. *Ognisko domowe*, a *Współczesny Puszkina* przekład *Nibelungów* i poematu findlandzkiego *Kalewal*. Dalej *Kuryer findlandzki* zamieścił w swych kolumnach „*Pogląd na historię Rossyi przed Karamzinem*" przez Starczewskiego, *Historyę wojny findlandzkiéj* w roku 1741 i 1742, *Szkic o naukach spoecznych w Rossyi* i. t. d. *Współczesny* ogłaszał ciekawe artykuły o Łomonosowie, Miltonie, oraz przekład jego *Raju utraconego* i wiele innych.

Zarzucano tym trzem przeglądom że w ich szpaltach przeważał żywioł cudzoziemski, lecz powodem tego nie było lekceważenie swojskości, ale gorąca chęć współpracowników tych pism, śledzących bacznie wszelkie objawy postępu, wszelkie ważniejsze utwory pojawiające się w innych krajach Europy, aby dać z nich korzystać rossyjskim czytelnikom. I rzeczywiście tym sposobem pisarze ci wielką współziomkom swoim oddali przysługę, gdyż dzięki usilnym ich staraniom oświeceńsza publiczność obznajmiła się z najlepszemi ideami rozpowszechnionemi wśród ludów stojących na czele cywilizacyi.

Jakkolwiek fakt ten nie przekracza granic rozwoju narodowego, wielu uważało go za nader smutną wróżbę, zapowiadającą zaparcie się i zniweczenie narodowości rossyjskiej,—lecz ciż sami pisarze stanęli w jej obronie i bardzo gorąco popierali i szerzyli swoje przekonania. Ruch ten rozpoczął się w Petersburgu, i z początku umiarkowany, wkrótce przeszedł w niedorzeczną przesadę.

Ten prąd idei występujących w obronie narodowości rossyjskiej, pojawił się jednocześnie i w Moskwie, i choć szerzył się daleko spokojniej, jednak wywołał daleko ważniejsze następstwa pod względem naukowym.

W Petersburgu, pierwszym dziennikiem który zaczął walczyć w obronie niczem niezagrożonej narodowości był *Farus*, wychodzący pod redakcyą Buraczkowa. W Moskwie zadania tego podjął się *Moskwitianin* a następnie *Rozmowa rossyjska*.

Według artykułów krytycznych Szewirewa *Moskwitianin* pod wielu względami zbliżał się do *Farusa*, tylko odznaczał się większą rozmaitością ale zarazem i mniej konsekwentną tendencyą, zamieszczał poezye tchnące najsprzeczniejszym duchem, wychwalał pod niebiosa *Martwe dusze* Gogol'a, dzieła Puszkina, zalecał cywilizacyę europejską jako wzór do naśladowania, zamieszczał przekłady dzieł obcych, jako to: *Joannę d'Arc* Lamartine'a, *Wilhelma Meister* Goethe'go, itd. itd.

Główną zasługą *Moskwitianina* jest rozszerzenie znajomości historyi Rossyi, a szczególniéj dziejów piśmiennictwa rossyjskiego, gdyż znaczna liczba zabytków literackich z XVIII oraz z początku XIX wieku, wyszłyna widok publiczny w kolumnach tego dziennika, którego wychodziły co miesiąc dwa duże zeszyty i z tego zapatrując się stanowiska, *Moskwitianin* będzie zawsze stanowić bogate źródło różnorodnych objaśnień. Lecz przedewszystkiem należy mu się uznanie że nigdy nie odmawiał przyjęcia artykułów, mających na celu wykazanie wad i niedostatków ówczesnego społeczeństwa rossyjskiego, jak to miało miejsce w komedyach Ostrowskiego, oraz w nowellach Pisemskiego i Potiemkina.

W szerszej daleko sferze obracała się *Rozmowa rossyjska* główny organ sławianofilów; głównymi jego współpracownikami byli dwaj bracia Kirewscy, Axakow i Komiakow. Założenie tego pisma było zbliżenie z sobą intellektualne ludów słowiańskich, i w tym celu ogłaszało listy najznakomitszych uczonych Słowian z Zachodu i Południa, korrespondencye polityczne i literackie z Turcyi i z Austryi. Dziennik ten zwracał na siebie uwagę polemiką odznaczającą się zimną krwią i gruntownością sądu, a to dzięki P. Kirewskiemu, wydawcy pieśni i legend popularnych, jakoteż Axakowowi, autorowi znakomitych artykułów o Łomonosowie.

Dziennik ten przestał wychodzić, ponieważ kierunek jaki sobie obrał nie odpowiadał ogólnemu nastrojowi życia rossyjskiego, które do swego rozwoju potrzebuje jeszcze koniecznie żywiołów cudzoziemskich; ta potrzeba postawienia się na równi z Zachodem, i brak rzeczywistej wspólności interesów politycznych Rossyi i południowych oraz zachodnich krajów słowiańskich, są powodem że panslawizm nie uzyskał dotąd w Rossyi zupełnego prawa obywatelstwa.

(d. c. n.)

Rzeczy bieżące.

— Tegoroczna zimna wiosna nie dobrze wróży o przyszłych urodzajach. U nas w ogóle narzekają bardzo na żyta, pszenice nie tyle ucierpiały, ogrodnicy zaś spodziewają się obfitego zbioru owoców. Jedyną pociechą w tej klęsce przewidywanej, jest przekonanie, że nie my sami jej ulegamy. Mróz niezwykły z czwartego na piąty Maja w całej panującej Europie, był główną tego przyczyną: co nie przepadło w zimie skutkiem kilkorazowego powstawania ciepła, to przemarzło w owej fatalnej nocy.

W środkowej Francyi szkody są ogromne, rolnicy są w rozpaczy, w dolinie Rodanu większa część winnych latorośli i drzew morwowych uległa zniszczeniu, w Burgundyi zaś mróz ów zaszkodził nietylko winnym latoroślom ale i owocom, burakom, kartoflom i rzepakowi. Z południowych krajów dotąd przynajmniej wieści podobnie trwożnych nie ma żadnych.

— Pożar przy ulicy Zielnej przysporzył nam nową gromadkę biedaków, których wsparcie jest obowiązkiem społecznym. Na pierwszą wieść o tem strasznem nieszczęściu posypały się składki w pieniądzach i w naturze ze stron wszystkich, pisma nasze przyjęły na siebie pośrednictwo w przyjmowaniu tych darów dobroczynnych, więc i my pomocy pod tym względem nie odmawiamy. Że zaś ci nieszczęśliwi pogorzelcy rzeczywiście na wielkie współczucie zasługują, dość jest zwrócić uwagę, że domy uległe pożarowi zamieszkiwali sami biedni rzemieślnicy i wyrobnicy, i że ogień trawiąc to co zastał w pomieszkaniu, zniszczył całe mienie biedaków, obdzierając ich z ostatniej prawie koszuli. Współczucie zatem nakazuje zarówno rozum jak serce, i za ich to popędem idąc Gazeta Toruńska w przemowie do swych czytelników powiedziawszy:

wspieraliśmy naszych pogorzelców w Chicago w Ameryce, wszakże bliższą nam Warszawa, wesprzyjmy tedy i warszawskich nieszczęśliwców: złożyła na ten cel jednego talara i przyrzekła pośrednictwo w zbieraniu dalszych składek.

— Bióro wyjątkowej nędzy, wychodząc z zasady, że położenie osób wymagających wsparcia ulega często w krótkim czasie pomyślnej zmianie, że w takim razie dana jałmużna tam gdzie nie jest konieczną, przynosi moralną szkodę obdarowanemu, i że tym sposobem ogłoszeń swoich o biedakach wymagających wsparcia, nie uważa wcale za patent dożywotni upoważniający do nieustannej żebraniny, uprasza wszystkie dobroczynne osoby, aby wspierały tylko tych, co w sobotniem ogłoszeniu Kuryerów wymieniani będą, i ażeby w razie jakiego nadzwyczajnego wypadku nędzy, donosiły o tem do Kancelaryi bióra przy ulicy Erywańskiej pod N-em 8 mieszczącego się.

Pomiędzy tylu gwałtownemi kwestyami, wymagającemi bezzwłoki niemal czasu załatwienia, uorganizowanie publicznej dobroczynności jest sprawą bardzo wielkiego znaczenia bo i moralną i ekonomiczną. Od lat przeszło dwudziestu podnosimy ją ciągle tak w gazecie jeszcze Codziennej na Polską przemienionej, jak i w naszym Tygodniku: głos nasz dotąd jak i innych pism peryodycznych był rzeczywiście na puszczy podnoszonym; zmordował piszących, znudził czytających. Gadajmy jednak dalej a może co przecie kiedyś wygadamy: powtarzamy zatem, że żebractwo w całym kraju przemieniło się obecnie w stałe zajęcie, w stan tak dobry a może często lepszy, jak rzemieślniczy, służebny i wyrobniczy: że każdy próżniak jak tylko praca mu się naprzykrzy, porzuca ją a zabiera się do wyciągania ręki po jałmużnę: że tym sposobem dobroczynność publiczna nie zmniejsza liczby żebraków, ale do ich mnożenia się znakomicie przyczynia, i że wreszcie idąc tak dalej, wkrótce żebracy staną się siłą, która o wsparcie już nie będzie prosić, ale domagać jak o rzecz przynależną: daj bo masz!

Chcąc tego wszystkiego uniknąć, trzeba koniecznie nad żebractwem ścisłą rozpostrzeć kontrolę, próżniaków zmusić do pracy, biedaków przyjąć pod swą opiekę, żebraniny stanowczo zabronić, i urządzić instytucyą dobroczynną na wzór bióra wyjątkowej nędzy. Im wcześniej dopełnimy tego tym lepiej, bo ułatwienie żebraniny, nie tylko mnoży próżniaków, ale i ostatnich niecponiów. Włóczęga całodzienny bierze gdy mu dają, a kradnie gdzie może. Niedawno chłopczynę jakiegoś obdarto z butów nowych, dziewczynce wyjęto przemocą kolczyki z uszów: po domach już zjawiają się kłamani pogorzelcy z ulicy Zielnej, a nie ma tygodnia prawie żeby nie przytrafiło się jakie sprytne złodziejstwo lub oszustwo dobrze obmyślane. Wszystkie podobne bezeceństwa w liczbie i w wyrafinowaniu wzmagają się corocznie, śledzimy je ćwierć wieku blizko, widzimy co jest a co było, i trwoży nas to co będzie.

— Niedawno Tygodnik Illustrowany zaczepił znowu kwestyą tak zwaną młodej i starej prasy, której na prawdę zupełnie nie rozumiemy. Piszący w orzeczeniu swem powiada, że różnica między temi stronami, czy partyami, czy tam inaczej jakoś, nie jest znów tak wielką, żeby rozdział ten mógł być sprawiedliwym: w zasadzie zgadzamy się, różnimy się tylko w poglądzie nawet nie na środki tylko na możność jej przeprowadzenia.

Mój Boże do czego to przyszło! Nie dawno, wszystko co starsze było próchnem, zgnilizną, zastojem: starych pracowników pióra wyszydzano, obdzierano z wszelkiej zasługi, dziwiono się że żyją, że zawadzają, wyprawiano co prędzej na Powązki, a pisma peryodyczne kazano zamykać, aby nie przeszkadzały rozrostowi jakichś nowych idei, dowodząc przytem, że starzy pisarze to mumije, że jeżeli nie pójdą ręka w rękę z jakąś nową falangą piszących, czy redagujących, czy doradzających, to przepadną jak Szwed w Kampinowskiej puszczy, młodzi odepchną ich, nie wyciągną do nich ręki i pójdą dalej naprzód, sponiewieranych i wyłajanych zostawiając daleko po za sobą.

Dziś jakże się to wszystko zmieniło! Między owymi walczącymi, czy sprzeczającymi się bo nie rozumiejąc samej kwestyi nic dziwnego że co chwila na wątpliwości wpadamy, otóż między owemi stronami, stojącymi niby na przeciwnych krańcach pragnień i chęci, ciemności i światła, mrzonek i prawdy, niedołęztwa wreszcie i dzielności pełnej ognia i zapału, dziś już według wyrażenia się Tygodnika Illustrowanego, rozdziału tego nie ma a różnica jeżeli utrzymuje się, to już jedynie tylko w pojęciu możności przeprowadzenia *jej* (?) Do czego to *jej* odnosi się także nie rozumiemy. Ale mniejsza o to. Głos ten choć niezrozumiały, ale zawsze z poczciwej i zacnej wydobyty chęci, podniosły zaraz dwa pisma uważając się niejako za reprezentantów młodej prasy, i nie tylko nie wyszydziły go ale przeciwnie przyjęły życzliwie, dowodząc nawet, że od dawien dawna niczego bardziej nie pragną jak zgody, że pracowały dla niej od samego swego początku, i że domagają się tylko od starców zrzeczenia się starych pojęć które ukochali, i to nie nagle ale powolnie, stopniowo, jak, domyślać się należy, gdy odurzony powraca do przytomności.

Istnieją zatem jakieś pojęcia co dzielą niby prasę na dwa obozy, ale jakie są one, nie powiedziano i my się ich także nie domyślamy. W rzeczywistości bowiem nie istnieją one, żeby jednak kwestyą tę tak zwanej młodej i starej prasy cokolwiek rozjaśnić, żeby później nie posądzano starych o upór, zastanowimy się chwileczkę nad jej powstaniem.

Rodzicem jej bez zaprzeczenia jest Przegląd tygodniowy z naczelnym jej redaktorem p. Wiślickim. Smutna to sława, daj Boże aby do nikogo więcej przyczepioną nie została. Znamy jej koleje powstania, rozrost i wcielenie się w magiczne słowa starej i młodej prasy.

P. Wiślicki z początku był bardzo cichym i spokojnym redaktorem; otoczywszy się gromadką młodych współpracowników, podnosił bez zaprzeczenia różne kwestye wprawdzie nie nowe tylko na nowo poruszone, ale z dobrą chęcią i pewną ruchliwością zawsze młodych znamionującą. Dobra chęć jednak i ruchliwość nie są jeszcze przymiotami bezwzględnie godnemi pochwały, były to też nie rozbiory poruszonych kwestyi ale próbki stylu i rozumowań, nader słabe, chwiejne, pobieżne, pełne sprzeczności, braku gruntowności w obrobieniu i głównie zalecające się tytułami artykułów drukowanych, a nie ich treścią.

Prasa tak nazwana później starą, naturalnie milczała, bo cóż mogła mówić o tych wyrobach pióra młodzieńczej niedojrzałości. Rozgniewało to p. Wiślickiego, sądzącego że kwestye choć tak słabo poruszone, pisma starsze podniosą, że w dziennikach powstanie wrzawa, walka, chałas i że wszyscy pierwszeństwo inicyatywy przyznawszy p. Wiślickiemu Przegląd tygodniowy podniosą na sam szczyt piśmiennictwa miejscowego. Zawód ten ciągle się utrzymujący, skłonił do zmiany taktyki. Porzucono więc kwestye a zabrano się do milczących i hejże! na nich jako na starych i zniedołężniałych nie oszczędzając nikogo co się jakąś zasługą już zdobytą zalecał.

Napadnięci znów milczeniem odpowiedzieli, wówczas to ostateczne zniecierpliwienie wywołało owe sławne artykuły smutnej pamięci z tytułami: *Na wyłomie! My i oni!* i inne podobnie krótko i węzłowato zamianowane, z podziałem prasy na starą i młodą. Wrzawa ta poparta wydawnictwem słabej bardzo encyklopedyi powszechnej i nędznego wydawnictwa 50 tomów, rzeczywiście zrobiła rozgłos dla Przeglądu tygodniowego, który nagle otoczony licznym zastępem czytelników, bo skandal wszędzie popłaca, wzrósł w pychę ciesząc się trofeami swojej zdobyczy.

W czasie tym wydobywania się Przeglądu na jaw publicznej ciekawości, powstały nowe dwa pisma: Opiekun i Niwa, a zobaczywszy powodzenie Przeglądu z pocisków na starą niby prasę wymierzonych, łajanie na nią przybrały za barwę swego rozwoju, tylko cokolwieczek oględniej i nie tak zapalczywie, a uczciwsze w pragnieniach, szukając idei przewodniej, wzięły za hasło czysty materyalizm odrzucając wszystko co z ideałem zbratane.

Religija więc, przeszłość, poezya, nauka, moralności chrześcijańskiej, poszły w kąt i przewodniemi gwiazdami zrobiwszy pozytywistów zagranicznych, ludzi godnemi szacunku i poważania pod wielu względami wytworzyły tak słusznie nazwany pozytywizm warszawski, bo podobnego w żadnym zakątku świata nie znajdzie.

I znowu pokazały się kwestye społeczne chwilowo przyciszone, owe narzekania i dowodzenia, że w wychowaniu panien klauzurowem, wzbronione jest prowadzenie romansów jak najnierozsądniej: że panny pragnące iść za mąż powinny mieć koniecznie posagi, bo miłość to poezya, a poezya to majaczenie niedołęgów: że sztuki piękne wszelkiego rodzaju są tylko zabawką dla zabawy drugich wymyśloną, że wszelkie poświęcanie się dla jakiejś idei lub dobra społecznego, są głupstwem godnem wyśmiania, że wszelkie zasady i pojęcia choć stanowiące podwalinę społecznego porządku, są mrzonkami średniowiecznej zastałości, że etyka pozytywna, której dotąd nie ma mówiąc w nawiasie, powinna zastąpić moralność przez chrześcijaństwo zalecaną i inne tym podobne głosy, dowodzące rzeczywiście wielkiej ruchliwości, ale wcale nie dojrzałości, opartej na rzeczywistej znajomości potrzeb kraju i jego domagań się. Prasa zatem starą nazwana znów milczała, bo czyż mogła podobne wystąpienia poważnie traktować, zwłaszcza że je zawsze cechowała pobieżność i przemykanie się po wierzchu w dowodzeniach. Powstałe z tego powodu nowe łajanie na prasę dawniejszą, rozdział na młodą i starą utrwaliły, któż to więc ma godzić się, kto pierwszy rękę podać do tak niby upragnionej zgody, kiedy tylko jedna strona łajała a druga milczeniem na drwinki i szykany odpowiadała?

Jest jednak środek, żeby to życzenie jeżeli jest szczere, sztuczny rozdział peryodycznej prasy zniszczyło. Niech tylko ci co ją stworzyli, staną się mniej ruchliwi a więcej rozważni, niech w wywodach swych gruntowniej rozpatrują się, niech szanują co godne szacunku, niech służą zawsze prawdzie i sprawiedliwości a nie chwilowo poruszonej namiętności, niech nie burzą wszystkiego nic nie stawiając, niech wreszcie w pewności swojej staną się choć cokolwiek skromniejszemi, a wówczas skończą się wszystkie narzekania na starą prasę, która z pewnością każdy głos przeciw sobie podniesiony, choćby najostrzejszy, byle z wzajemnym szacunkiem wypowiedziany, byle rozumnem dowodzeniem poparty, przyjmie chętnie, podniesie, obiaśni i wytłomaczy. Rozumiemy dobrze młodą i starą np. Francyą, Czechy, Turcyą itp. ale starej i młodej prasy u nas zupełnie nie pojmujemy.

— Cieszą się wszyscy, że Towarzystwo osad rolnych coraz więcej zyskuje poparcia. Liczba członków korespondentów i poborców składek zwiększa się jednorazowe ofiary mnożą się, odczyty, koncerta na rzecz tych osad urządzają się, słowem ruch jest wielki, a nawet z ofiarami pospieszają już nie sami zamożni jak dotąd było, ale biedniejsi z groszem wdowim często bezimiennie danym. Niedawno mieszczanin w Staszowie Bartłomiej Kisiel, testamentem przekazał na ten cel r. s. 30, a nowo obrany vice-

prezesem komitetu p. Feliks Sobański, buduje własnym kosztem dom w Studzieńcu, przynosząc tym sposobem Towarzystwu blisko 5,000 r. s. w ofierze. Są to wszystko objawy bardzo pocieszające, cieszyć się niemi należy, ale o ileż razy bardziej cieszylibyśmy się, gdyby równe usiłowania w przeciwnym podniesione były kierunku, gdyby zawiązało się towarzystwo mające wyłącznie na celu, pomniejszanie liczby małoletnich przestępców godnych osadzenia dla poprawy w rolnych osadach. Jedyna do tego droga przez rozszerzanie nauki tam, gdzie ona dotąd nie zajrzała. Radość nasza z krzątania się tak czynnego około wzniesienia osad rolnych dla małoletnich przestępców, jest bardzo podobną do człowieka chorującego na raka, którego operacya chwilowo podnosi na nogi, aby wkrótce rzucić na łoże z większą jeszcze niemocą. Osady złego nie usuną, tylko to co tworzeniu się jego zapobiega. Ciemnota głównym tu twórcą, pokonajmy ją, a dobre szerokim strumieniem spływać będzie tak, że złe przycichnie jak chwast w roli dobrą uprawą tępiony.

O ubiorach.

Paryż, 15 Maja 1874 r.

Stroje wychodzące z rozmaitych magazynów tak są różnorodne i sprzeczne, iż możnaby je uważać za próbki strojów, i dziś jeszcze trudno wyrokować stanowczo co się utrzyma, a co zostanie zarzucone. Niepodobna jednak nie przyznać, że wiele z tych nowości nie odznacza się bynajmniéj dobrym gustem i poczuciem estetycznem.

Do takich zalicza się tak bardzo zalecona przez tutejsze modystki suknia zwana *robe—cloche* lub *robe—fourreau.* Jest to rzeczywiście jakby obcisły i krótki futerał, w około jednakowo ogarnirowany, ze stanikiem obcisłym, bardzo przystającym na biodrach, od dołu do góry zapiętym na guziki, lub w górze przystrojony kamizelkowym kołnierzem. Do takich sukien nie daje się ani tunik ani fartuszków, i *są zupełnie krótkie.* Wązka spódniczka, do koła jednakowo ubrana falbanami; przedni bryt od falban do góry może być gładki lub też przybrany plisami. Na to ubranie zarzuca się fantastyczna szarfa. Kapelusz powinien być wysoko ubrany nadmierną ilością kwiatów.

Lecz któraż z dam umiejących się ubierać, włożyłaby na siebie strój ten równie rażący jak niegustowny, z którego samą tylko szarfę wyłączyć należy, gdyż piękny ten przystrój bardzo ładnie ubiera i w ogóle uzupełnia każde ubranie.

Najmodniejsze szarfy robią się z fularu i z crêpe de Chine. Do sukien z dwóch cieni najmodniejszych w tym roku, szarfa powinna być koloru cieniu ciemniejszego, jeżeli suknia jest z materjału w deseń, szarfa bywa w kolorze deseniu. I tak do sukni fularowej, koloru écru w deseń koloru orzechowego, szarfa daje się z fularu gładkiego, w kolorze orzechowym. Szarfę taką układa się w najrozmaitszy sposób, tu głównie odznacza się gust i zręczność. Można ułożyć ją jak tunikę, układając z przodu fartuszek ze środka szarfy, lub skrzyżować jak chusteczkę i długie końce spuścić z tyłu, albo z tyłu puścić parę pukli lub fałdów albo sfałdowaną przypiąć w pasie, potem zarzucić na ramiona i końce puścić naprzód.

Co do tunik, nic stanowczego powiedzieć nie można, jednak według ścisłych wymagań mody, noszą je głównie do toalet negliżowych, kostiumów w podróży i na spacerach. Wtedy tiunki są długie krojem zwyczajnym i robią się z kaszmiru, z wigoniu letniego lub tkaniny beżowéj, ozdobionych kilkoma rzędami stębnówki maszynowéj i guzikami ze słoniowéj kości lub metalowych. Taką tunikę nosi się do spódniczki jedwabnéj czarnej lub marron. Noszą się także tuniki do sukien wieczorowych i balowych, wtedy powinny być z koronki lub lekkich powiewnych tkanin.

Najpierwsze magazyny Paryzkie jak *Wortha i Gagelin'a* zaczynają zupełnie zarzucać tuniki. Suknie wychodzące z ich zakładów mają bryty przednie bardzo ukośno ścinane, a z tyłu długi i szeroki tren, podpięty w bardzo duży puf i szeroką szarfą lub ogromne węzły z materyi, przepięte sprzączkami stalowemi, lawowemi lub oksydowanemi. Sutszy lub lżejszy garnirunek spódnicy zależy od materjału sukni. Jeżeli jest lżejszy daje się bufy, wody lub wolanty, suknie z ciężkiéj materyj mało się garnirują. Tren daje się gładki, przód przystraja się skosami lub gładkiem garnirowaniem, zakończonem wielkiemi kokardami po bokach. Staniki robią z bawetem z przodu, a plecy z baskiną, zupełnie obcisłe i przystające. Tak więc panie ściśle trzymające się najświeższéj mody, zaprzestają nosić tunik, z wyjątkiem do sukien bardzo lekkich, wieczorowych i balowych, a natomiast całe treny naszywają się wolantami, bufami i wodami; na przednim brycie daje się fartuszek układany w fałdy, na bokach nagarnirowane kliny i tu i owdzie porozrucane kokardy.

Do niektórych sukien dodaje się pół tuniki; jeżeli są umieszczone z tyłu, nazywają się półtreny, z przodu fartuszki. Do wizyt używa się sukien z pół trenami.

Najświeższą nowością są suknie z trzech lub z czterech cieni jednego koloru, tylko szare i écru można ubierać odmiennym kolorem.

Dżet tak się upowszechnił że pewnie nie prędko wyjdzie z mody; haft, dżet czarny lub biały, oto niezbędna ozdoba każdéj wyszukańszéj toalety. Oprócz dżetu, świecących perełek czarnych i białych modne są bardzo tak zwane srebrne któremi naszywa się tiul, blondyny i materje.

Teraz trzeba nam jeszcze pomówić o modnych kolorach, a nie łatwe to zadanie, gdyż barwy ich są tak różne i nieokreślone, że nie wiedzieć jak je nazwać. Właśnie w chwili gdy natura zaczyna przyoblekać najświetniejsze swe szaty, kiedy wiosenne słońce mai pola i łąki różnobarwnemi kwiatami, moda ta despotyczna władczyni każe ubierać się w kolory wypełzłe i zgniłe, tak źle odbijające od żywych barw przyrody.

Podajemy najmodniejsze kolory.

Zielony mchowy, zwany vert-mousse.

Fioletowo czerwony, zwany lie de vin.

Mglisty, nuage, ciemno-popielaty, szaro-niebieski; szaro-złoty, i wszystkie odcienia chmur i obłoków od najposępniejszych do stopniowo się rozjaśniających.

Pistache, orzechowo-zielonawy.

Marmotte, szaro-kasztanowaty, bardzo stosowny na kostiumy.

Corbeau, czarno-niebieskawy.

Corinthe, kolor czarno niebieskawych winogron.

Mésange, koloru piórek tego pięknego ptaszka (sikora)

Obok zawsze modnych gładkich materyj, tak jedwabnych jak wełnianych noszą różne w desenie fantastyczne, pompadour, w rzucik i paski; morowane, satynowane. Paski i prążki mają tę właściwość, że przybrane w podobny materjał osoby wydają się szczuplejsze; to też używają się na vêtement, polonezki i tuniki; moda wymaga aby spódniczka do nich była gładka, tylko w ciemniejszym odcieniu.

Z nastaniem cieplejszéj pory kaszmir ustępuje miejsca fularom. Suknia powinna być ciemniejsza a wypustki i garnirunek jaśniejszy.—Na codzienne ubrania używają bardzo beżu (beige) przyzdobionego aksamitem. Na okrycia noszą dolmany z kaszmiru czarnego, z materyi lub z materjału sukni. Bogactwo dolmana zależy od zdobiącego go haftu, lub wyszywania.

Kapelusze są tak fantastyczne a nawet dziwaczne, że ich prawie niepodobna opisać. Tak zwane Leopold Robert, są nadzwyczaj strojne i wymagają tak ogromnych girland i to z najpiękniejszych kwiatów, że można je tylko nosić do wielkiego stroju i do powozu, inaczéj byłyby rażące.

Noszą bardzo kapelusze zwane Angot, ze słomki popielatéj. Rondko, w kształcie diademu z podpięciem z faille różowego; główkę otacza jakby wieniec z takichże kokard pomięszanych z czarnym aksamitem, zakończonych piękną różową różą z liśćmi, spadającemi na końce z faille i aksamitu.

Kapelusze okrągłe mają fason zbliżony do tyrolskich, tylko że boki są wywinięte. Do takich nie używa się kwiatów tylko materja faille i aksamit, oraz egretka z piór.

Kapotki zaczynają wracać do mody; najładniejsze mają główki plisowane, a rondko naciągane jak dawniéj, co tworzy małe płaskie bufki. Podgarnirowanie z gładkiego jedwabnego tiulu. Najmodniejsze są krepowe koloru perłowego, przybrane wiankiem fijołków bez liści. Końce z faille perłowego.

Modne są bardzo długie woalki z kolorowéj gazy, zwane: voile—écharpe.

Parasolki z laskami, zawsze są bardzo noszone, jednak do większego stroju modniejsze są małe, składane, oszyte koronką z perełkami lub blondyną.

KORESPONDENCYA TYGODNIKA.

W Numerze drugim z roku bieżącego Tygodnika, umieścił artykuł pan Jan Prusinowski, o życiu i szlachetnych czynach śp. Józefy Polanowskiéj.

Przeczytawszy ten artykuł, a zebrawszy myśli i wspomnienia chociaż tyle lat już ubiegło, jako podówczas Uczeń Gimnazjum w Łucku, poczytuję sobie za obowiązek sprostować, mylnie podane dwa nazwiska osób, dotąd w pamięci nie jednego z nas niezatartych, a mianowicie, powinno być nie Żachowicz lecz *Rzechowicz* i nie Dyonizy Jakubowicz lecz *Jakutowicz.* O sprostowanie tedy nazwisk właściwych a tak zacnych dwóch osób proszę.

Stanisław Juniewicz.

SPROSTOWANIE.

W numerze 20 Tygodnika zaszły następujące błędy: które niniejszem prostujemy.

W wierszu: *Jak Komu* w piątym od końca, zamiast:

Gdzie oko nie płacze, serce się smuci.

powinno być:

Gdzie oko nie płacze, serce się nie smuci.

W Piosence zaś, w wierszu przedostatnim zamiast:

Gdzie ludzie nie chcą to tylko i Bogu...

powinno być:

Gdzie ludzie nie chcą, to tylko Bogu...

Do dzisiejszego numeru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk K. Kowalewskiego w Warszawie ul. Królewska N. 1066k (23). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz.

Dodatek

Opis do N. 21.

(Dalszy ciąg.)

N. 6. **Chusteczka**, baskina i rękawy z ręcznie robionej koronki irlandzkiej.



N. 2. Dyadem i róża z aksamitu czarnego.

Chusteczka z czarnego deseniowego tiulu, oszyta koronką z czarnej tasiemeczki, która w górze jest wywinięta, czarną aksamitką podłożona i spięta z przodu takąż kokardą z długiemi końcami. Taką samą koronką z wązkim nadgłówkiem, ozdobione są rękawy i baskina. Różne odpowiednie desenie, podaliśmy w ostatnim kwartale roku zeszłego w Tygodniku Mód.

N. 7—9. **Kreza** i rękawki. Wywodzenie na tiulu.



N. 1. Kapelusz wiosenny przybrany z boku. Przód chusteczki patrz ryc. 28.



N. 4. Czepeczek negliżowy. Przód. Patrz ryc. 5.

Garnirunek przy krezie dopasowany ze sztywnego tiulu, do kwadratowego wykroju sukni, ogarnirowany jest przy górnym wykroju, w rurki układaną falbanką z jedwabnego tiulu, zakończoną pliskami z niebieskiego rypsu. Ryc. 8 przedstawia ten garnirunek w połowie naturalnej wielkości. Na kolorowe pliski naszyta szeroka koronka z nadgłówkiem, własnoręcznie wywiedziona jest na tiulu podług wzoru ryc. 8, prosto przesnute nitki



N. 3. Dyadem z wstążki.

w górze przy nadgłówku, mogą zarazem służyć do przymarszczenia koronki. Do wywodzenia na tiulu i dziergania ząbków, używa się bawełny do haftu N. 45. Jeżeli wybierzemy koronkę bez nagłówka, (n. p. ryc. 26) to takową podszyć trzeba pod pliski kolorowe. Rękawy oszyte są taką samą koronką i podwójną falbanką, pod którą dodana jest szeroka bufa z jedwabnego tiulu.

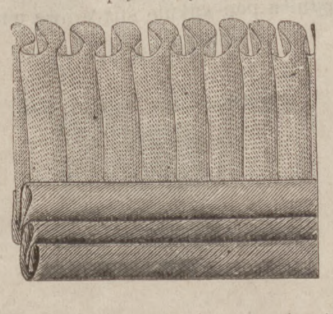
N. 10—14. **Garnirunki** z muślinu i tiulu z dodaniem koronki i haftu.



N. 6. Chusteczka, baskina i mankiety z koronki irlandzkiej.



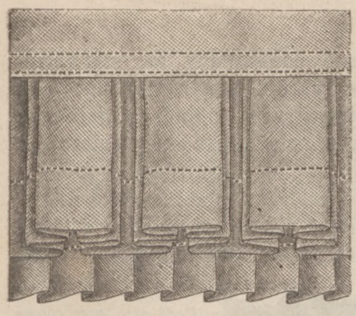
N. 5 Czepeczek negliżowy. Upięcie z tyłu.



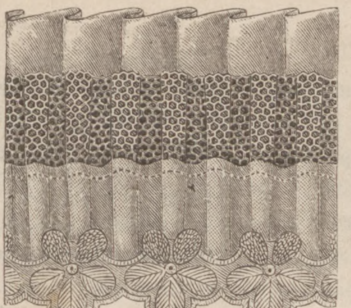
N. 8. Tiulowa riusza i plisa do chusteczki ryc. 7.



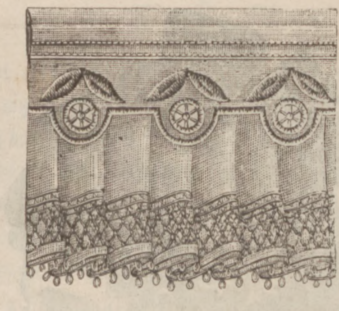
N. 7. Kreza i rękawki. Wywodzenie na tiulu. Patrz ryc. 8 i 9.



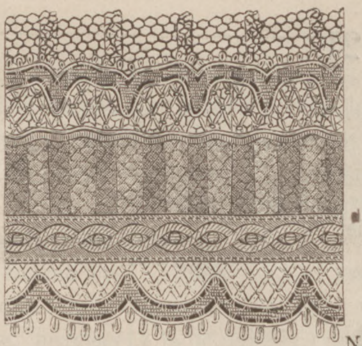
N. 10. Garnirunek z plisowania i podwójnych kontrafałd muślinowych.



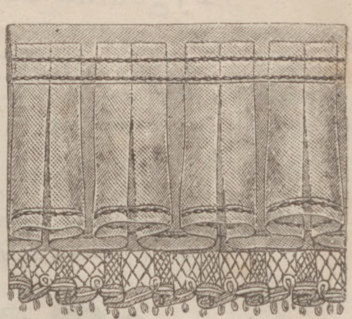
N. 11. Plisowanie i rurkowana falbanka muślinowa zakończona haftem. Po nad falbanką nagłówek tiulowy.



N. 12. Oszycie z plisowanej falbanki, koroneczki i haftu.



N. 13. Oszycie z muślinu, tiulu, koronki i haftu.



N. 14. Oszycie z kontrafałd muślinowych i koronki.

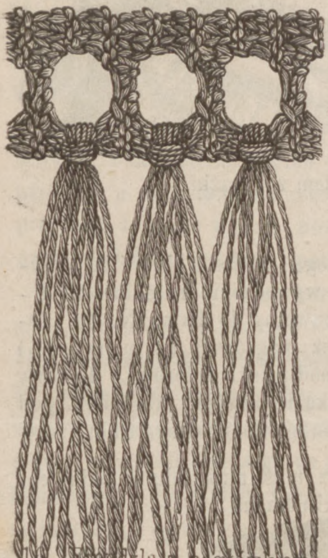
Na ryc. 10—14 podajemy próbki różnych garnirunków fałdowanych i zaprasowanych, z dodatkiem haftowanych szlaczków, koronek i tiulu, a służących do przyozdobienia kołnierzyków, penioarów, spódnic i wszelkiej innej bielizny. Gotowe takie lub podobne garnirunki rozmaitej szerokości, znajdują się w sklepach bielizny.



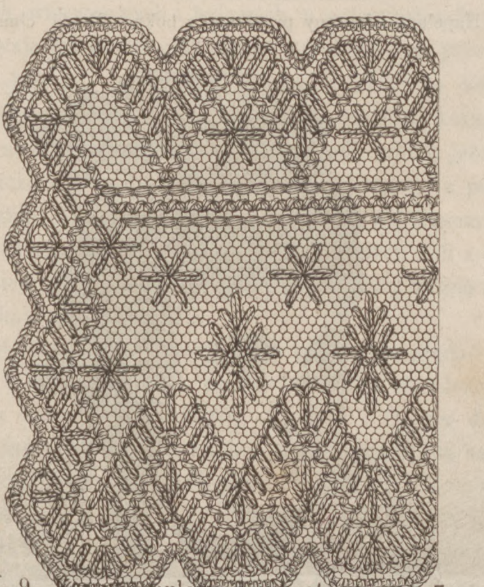
N. 15. Ząbki z plecionki koronkowej mignardise.

N. 15. Szlak z plecionki mignardise i tasiemeczki koronkowej, do falban, spódnic itp.

Szlak ten służyć może zarówno do spódnic, negliży, sukienek dziecięcych, jak i do sukien z płótna écru albo marynarskiego, granatowego koloru. Tasiemeczkę koronkową wyrabianą w dziurki, przydziergać trzeba w zęby spiczaste do tła, a następnie koronkę z mignardise robić osobno do każdego zęba i przyczepiać okręcanemi nitkami do tasiemeczki. Na każdy ząbek koroneczki, stosownie do żądanej wielkości, nabiera się na szydełko 5, 7 albo 9 pikotów, przewłóczy jedną pentelką i przerabia jednem oczkiem; następnie 3 luźne oczka łączą górne i dolne ząbki koronki, odrobione tym samym sposobem co poprzedzający. Po wykończeniu koroneczki luźne łączące oczka obraca się do lewej strony.



N. 16. Frendzla z nagłówkiem robionym na drutach.



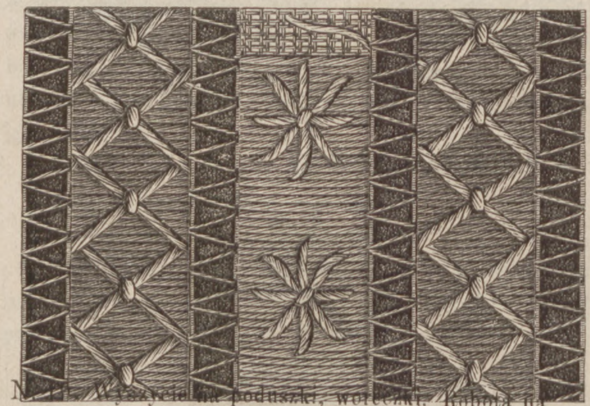
N. 9. Koronka tiulowa do chusteczki ryc. 7.

N. 16. Frendzla z nagłówkiem robionym na drutach.

Taka frendzla odrobiona z cienkiej włóczki, służy do oszycia chustek włóczkowych, kapturków itp.

Torsadkę do frendzli z podwójnie zwiniętej cienkiej, niekręconej włóczki, robi się na drutach cienkich, drewnianych, zacząwszy na 8 oczek, 1-sze obrobienie 1 o. zdjąć, 3 zrobić razem, 2 razy przybrać, 3 zgubić razem, ostatnie oko gładko.

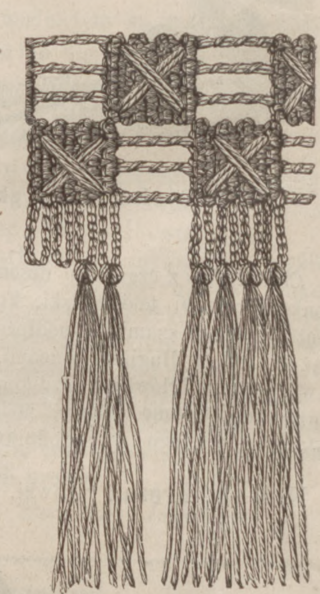
W drugiem obrobieniu gładkiem; tylko w nitkę 2 razy przybraną robi się o. 4, z których naprzemian jedno gładko, jedno odwrotnie, resztę oczek gładko. Trzecie i czwarte obrobienie gładko; następnie powtarzać od początku.



N. 19. Wyszycie na poduszki, woreczki. Robota na kanwie.

N. 17—18. Frendzla z nagłówkiem szydełkowym.

Torsadę frendzli robi się poprzecznie z bawełny kręconej N. 40, zacząwszy na o. 23, z których 11 końcowych stanowi pierwszą pentelkę do przywiązania frendzli; w 6 o. następnych robi się 6 o. ścisłych, stanowiących pierwsze obrobienie do matowego kwadratu, przyozdobionego długiemi, w krzyż przewleczonemi oczami. Na zakończenie 1-go obrobienia dodaje się * 1 o. powietrzne, następnie 6 o. ści. biorąc zawsze za dwie nitki łańcuszkowych o. poprzedzającego rzędu, 11 o. pow. na następną pętelkę 1 o. powietrzne, 6 o. ścisłych w oczka poprzedzającego rzędu, tak powtórzyć razy 3 od *. Przy 7-em obrobieniu kończącem kwadrat odrabia się oczka krzyż stanowiące, w sposób na powiększonym kwadracie ryc. 18 wskazany. Najpierw przewłóczy się pętelkę przez 1 o. ścisłe, zatrzymuje ją się na szydełku, zarzuca nitkę jak do roboty słupka, i przewłóczy się pętelkę przez dwa ostanie oczka pierwszego obrobienia, jak wskazuje próbka N. 18. Tak powstałą długą pętelkę przerabia się z zatrzymanemi na igle; potem przerabia się 3 o. ścisłe a na koniec przez miejsce wskazane na próbce punkcikami, przerabia w sposób powyżej wskazany, drugą długą pętelkę na krzyż. W dalszym nieprzerwanym ciągu, na ażurowy kwadrat robi się: 1 o. pow., 1 słupek 3 razy nawijany, 1 o. pow., 1 słu. 3 razy nawijany, 1 o. pow,; 1 słu. potrójny w dwa oczka końcowe. Górny kwadrat matowy zaczyna się 1 o. pow.; i robi dalej sposobem wy-



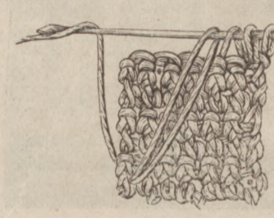
N. 17. Frendzla z szydełkowym nagłówkiem.



N. 21. Spódnica z falbanami haftowanemi pod suknię z trenem.



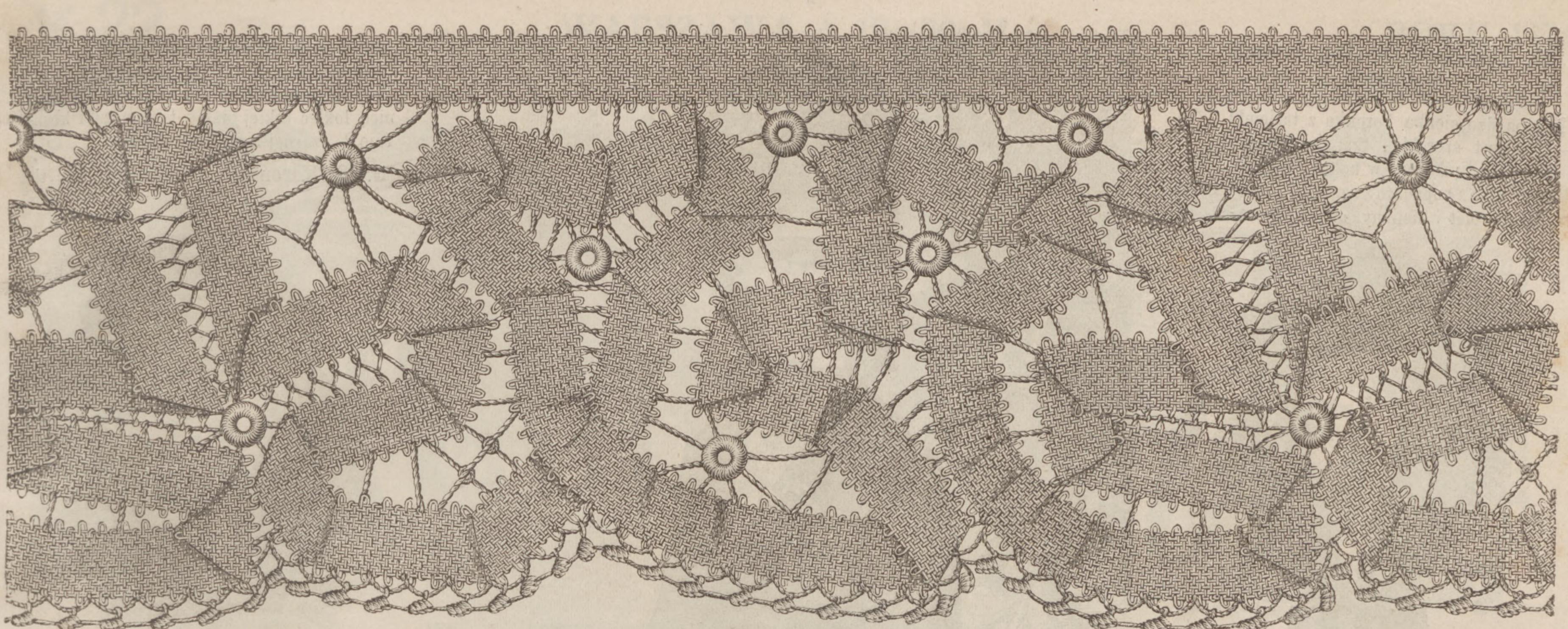
N. 20. Spódnica pod suknię spacerową naszyta plisami.



N. 18. Kwadracik do nagłówka nad frendzlą ryc. 17.

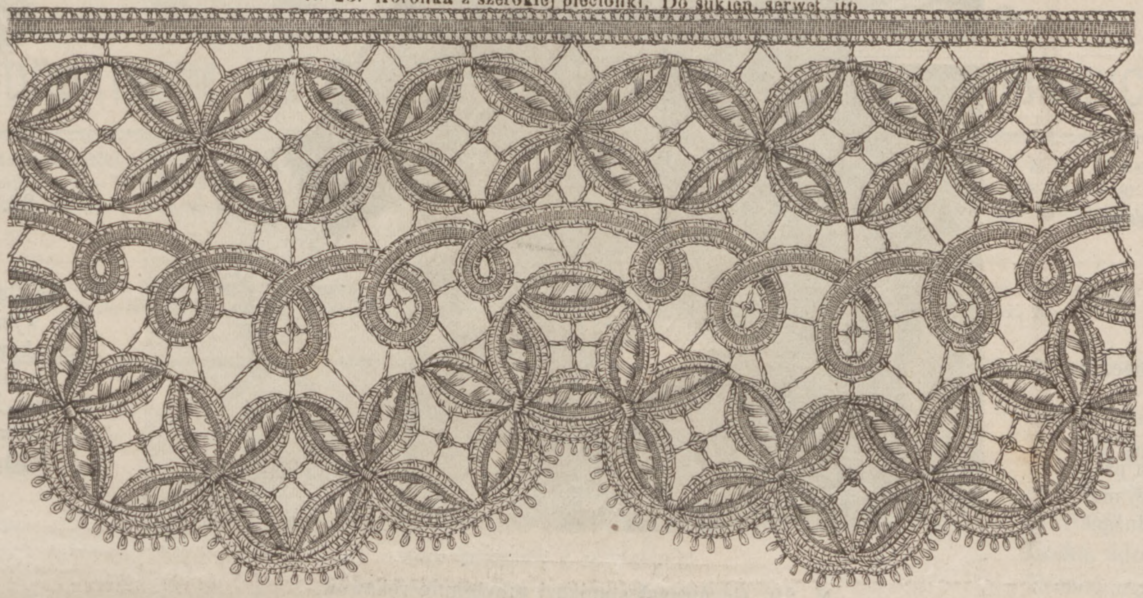


N. 22. Spódnica z haftowanemi wstawkami i oszyciem, pod suknie z trenem.



N. 23. Koronka z szerokiej plecionki. Do sukien, serwet, itp.

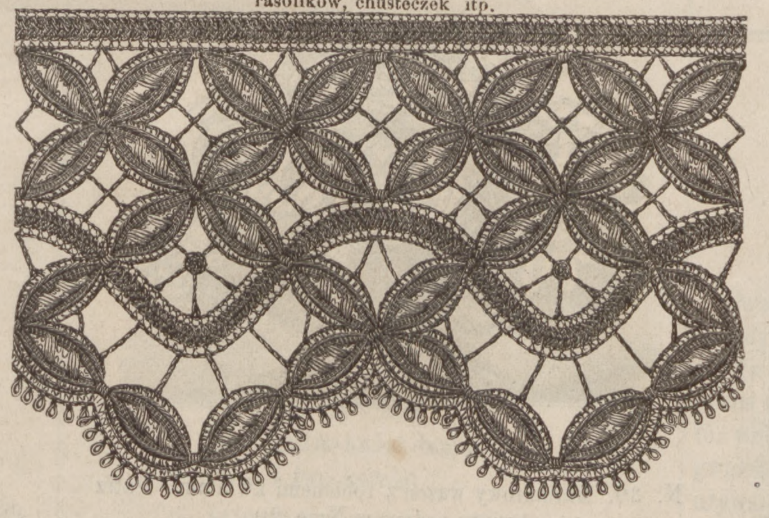
żej wskazanym, tylko bez oczek 11 powietrznych, stanowiących pętelkę do frendzli; poczem następuje dolny kwadrat ażurowy, i tak powtarza się ciągle od *. Frendzle przywiązuje się po wykończeniu torsady.



N. 24. Koronka z białej medaljonowej plecionki. Do sukien, parasolików, chusteczek itp.

N. 19. Wyszycie na kanwie na poduszkę, torbę podróżną i t. p.

Podajemy czytelniczkom naszym próbkę ściegu nader łatwego i pośpiesznego, a który mimo to dobrze wygląda i jest stosowny na torby podróżne, poduszki, itp. przedmioty. Pasy ze ściegów poprzecznych zajmują 8 krzyżyków i są przedzielone paskami czarnej aksamitki, zajmującej 2 lub 3 krzyżyki, którą przyczepia się ściegiem długim skośnym. Na modelu tło pasów robione było dwoma cieniami włóczki zielonej, a desenie wyszyte filo zelą koloru złotego; aksamitka przeszyta kordonkiem żółtym. Przy robocie pasów zajmuje się tylko za jedną nitkę, jak to na próbce widzimy.



N. 25. Koronka z czarnej medaljonowej plecionki. Do sukien, parasolików, woalek, barbek itp.

N. 20—22. Trzy spódnice.

Szerokość spódnicy zastosowana być powinna do długości trenu. Spódnica pod kostium spacerowy, lub domowy dotykający ziemi, powinna trzymać 100 cent. przedniej, 110 centy. tylnej długości, i 300 cent. dolnego obwodu. Pod suknię z małym trenem, 100 cent. przedniej, 130 tylnej długości, i 360 dolnego obwodu. Do sukni z długim trenem, spódnica ma 103 cent. długości z przodu, 160 z tyłu, i 410 dolnego obwodu. Paski do spódnicy zalecamy z przodu w ząb ścięte i dopasowane gładko, od boków proste 3—4 cent. szerokie, 30—35 cent. długie, nawleczone tasiemką do przymarszczenia. U dołu spódnicę zakończa obrąb 4—6 cent. szeroki, albo lepiej podszyć listewkę skośną 4 i 6 cent. szeroką. Pod kostiumy więcej używa się garnirunków gładkich lub mięszanych z wązkiemi falbankami, do spódnic z trenem przeważnie noszone są bardzo szerokie wolanty, ozdobione u dołu strojnym garnirunkiem.

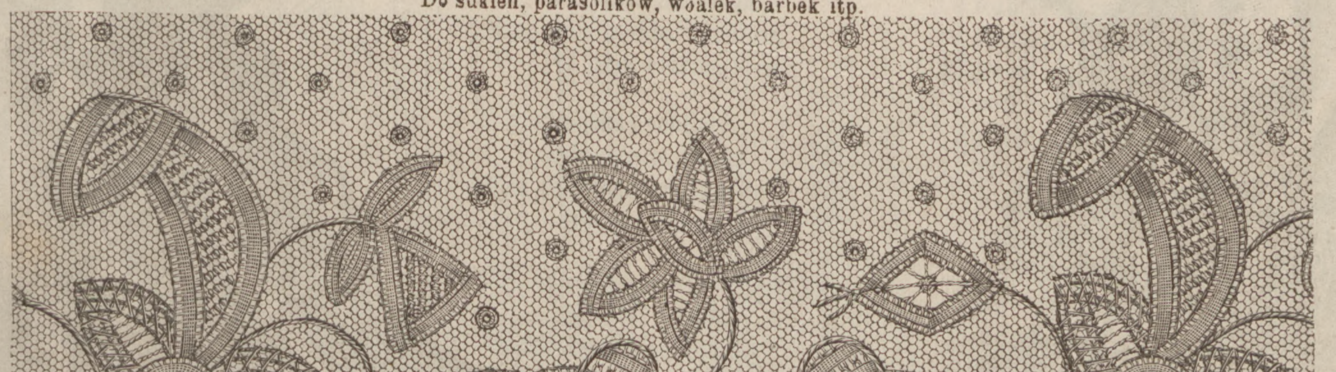
N. 20. Spódnica pod kostium, ozdobiona 6 plisami z piki, mającemi 4—5 cent. szerokości, które u dołu przyszywa się i odwraca, a w górze zakończa mocną koronką, szlaczkiem, albo ząbkami z tasiemeczki 1 cent. szerokiemi.

N. 21. Powłóczysta spódnica z haftowanemi falbankami.

Wolant z przodu 40, z tyłu 49 cent. szeroki, w górze wązkim nagłówkiem zakończony, oszyty jest dwiema falbankami 10 cent. szerokiemi, u dołu dzierganemi w zęby, u góry zakończonemi nagłówkiem 1 cent. szerokim. Nad falbankami dodane są albo stębnowane listewki, albo zakładki w wolancie zaszyte $1^1/_2$ cent. szerokie; na te ostatnie dodaje się materjału przy krajaniu wolanta.

N. 22. Spódnica z długim trenem przyozdobiona wstawkami i szlakiem haftowanym.

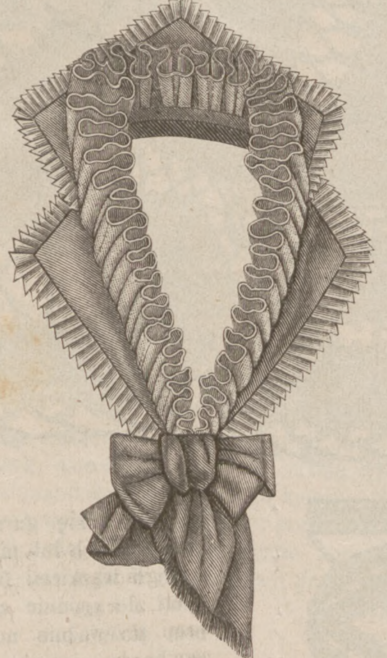
Wolant zakończony $1^1/_2$ cent. szerokim nagłówkiem, ma z przodu 54, z tyłu 69 cent. szerokości, garnirunek składa się z dwóch wstawek z materjału tkanego fabrycznie w skośne zakładki, przedzielone ażurowemi kratkami; pomiędzy te wstawki $4^1/_2$ cent. szerokie wszyta jest wstawka haftowana. U dołu garnirunek zakończony jest szlaczkiem haftowanym, cokolwiek nadmarszczonym. Wszystkie zeszycia pokrywają listewki batystowe stębnowane, $^3/_4$ c. szerokie. Cały garnirunek wynosi 20 cent. o tyle więc falbanę kraje się krócej; takie wolanty mogą być naszyte na spódnicy albo na powietrznie.



N. 26. Koronka z plecioneczki naszywana na tiulu.

N. 23. **Koronka** z szerokiej, grubszej tasiemki.

Nie bardzo cienka koronka z tasiemki 2—2½ cent. szerokiej, tkanej z pikotami albo bez pikotów, w kolorze białym, żółtawo albo popielato szarym, służy nietylko do rolet i bielizny, ale i na wsta-



N. 27. Kreza z jedwabnym ranwersem.

wki albo oszycia do sukien z płótna szarego, albo granatowego koloru.

N. 24—25. **Koronka** z tasiemeczki medaljonowej.

Tasiemeczka medaljonowa używa obecnie wielkiego powodzenia, albowiem przy bardzo małej pracy układać z niej można koronki różnej szerokości, służące



N. 29. Garnirunek stanika i przybranie rękawów.

zarówno do przyozdobienia sukien, chusteczek, kołnierzyków, rękawków i innych artykułów cienkiej bielizny. Za granicą łokieć takiej białej tasiemeczki kosztuje 2, czarnej 3 srebrne grosze.

N. 26. **Koronka** z tasiemeczki, na tle tiulowem.



N. 28. Kreza z plisami jedwabnemi.

Na tle z cienkiego nicianego tiulu, deseń wyszywa się cieniutką tasiemeczką koronkową i zapełnia kratkami robionemi na tiulu, albo ażurowemi na tle wyciętem. Na tle koronki dodane są maleńkie, dziergane muszki nićmi koronkowemi.

(Dalszy ciąg nastąpi w N. 22).



N. 30. Marmurowy wazon z robionemi kwiatami. Patrz kwiaty podane w Nrze. 20.



N. 31. Suknia z tuniką układana wachlarzowo.



N. 32. Suknia podpinana z tyłu.